Nr. 21. Poznań, Niedziela 19go Sierpnia 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

Zanik stanu średniego w Austryi.

„Ruch jest dyalektyką bytu" obwieścił światu ze swych filozoficznych obłoków Hegel. Ruch więc jest objawową, dostrzegalną dla naszych zmysłów formą nie tylko społecznych przeobrażeń i metamorfoz, którym podlega świat fizyczny; jest on nie tylko życiem twórczej i niszczącej siły przyrody, szeregowaniem się powstawania i zaniku, rozkwitu i uwiądu, narodzin i śmierci, lecz jest on pulsem również i społecznego życia, mieniącego się tysiącem zjawisk, faktów, i rozwijającego w ruchu całą pełnię swego bytu i istoty. Jest on biegiem mknącego na przełaj historycznego potoku, który zrywa po drodze wszelkie groble i tamy i niesie swe spienione wody w nieskończoną i niewidzialną dla nas dal; jest on wiecznym postępem; kroczeniem naprzód bez odpoczynku, bez oglądania się za przeszłością. Ta właśnie nieskończenie ważna myśl o ciągłej ewolucyi życia społecznego, o zmienności jego form jest zdobyczą XIX wieku. Odkrycie zaś tej prawdy jest zasługą niemieckich ekonomistów drugiej połowy bieżącego stulecia. Oni to, wyrażając się nieściśle, za przykładem Kopernika ruszyli z podstaw życie społeczne i wprawili je w ruch, a raczej pokazali je nam w postaci wiecznego dążenia i parcia. Oni to wszczepili w nas to przekonanie iż organizm społeczny na podobieństwo organizmu ludzkiego w każdej chwili swego istnienia przebywa zmiany i przeradza się, ginie i odtwarza się. Oni to udowodnili, iż praca historyi, pomimo wiecznego rozprywania i tkania, nie pozostaje, jak u Penelopy, na jednem miejscu, lecz posuwa się naprzód, coraz dalej i dalej. Ta myśl powinna stać się duchową własnością każdego, kto nie pozostaje zupełnie bezstronnym świadkiem wrzącego w około niego życia. Każdy, kto chce wlać w swą działalność cząstkę siebie samego, kto chce swą pracę ożywić tchnieniem swych myśli i ideałów i zespolić z interesami swego otoczenia, powinien przedewszystkiem zrozumieć życie i pamiętać, iż pojąć je można tylko w wiecznym ruchu. Trzeba przyjrzeć się drodze, którą sobie obrało i notować, o ile to jest możliwem, każdy skręt i i zygzak tej ostatnicj. Nie znaczy to bynajmniej wyrzekać się swych przekonań. Oznacza to tylko potrzebę stosowania do nich najwyższego sprawdzianiu, bo probież samego życia: licząc się z niem i nie zamykając oczu na jego potrzeby i wymaganiu nadajemy naszym przekonaniom trwalszę podporę; tylko apelując do niego i przyglądając się procesom, zachodzącym w jego retorcie, możemy orzec, o ile nasze ideały i pragnienia mają racyę bytu przy danych warunkach.

I w łonie współczesnych nam europejskich społeczeństw dokonywują się zmiany doniosłej wagi. Przed zdumionym naszym wzrokiem wydobywają się z głębi życia gospodarczego na jego powierzchnię nowe zjawiska, które nadają społeczeństwu fizyognomię nieco odmienną od poprzedniej. Do takich zmian należy przedewszystkiem zaliczyć ustosunkowanie się klas społecznych z powodu stopniowego upadku t. zw. stanu średniego. Zjawisko to otrzymało swą klasyczną niemal formę w Austryi — i oto powód, dla czego chcieliśmy czytelnika bliżej zaznajomić z położeniem warstw średnich w kraju Habsburgów. Przez stan średni rozumiemy grupę średniozamożnych ludzi różnych profesyj, jako to kupców mniejszego kalibru, przedstawicieli liberalnych zawodów, urzędników i wielu jeszcze innych, lecz przedewszystkiem rzemieślników. Ci ostatni to domagają się w Austryi, by prawodawca skinieniem różczki czarodziejskiej rozkazał rozstąpić się falom zalewającej ich powodzi, żądają, by jednem pociągnięciem pióra wyprowadził ich z bagniska nędzy, w które pogrążają się coraz głębiej. Tę rozpacz i ciągłe pociąganie za sznur alarmowy mechanizmu państwowego ze strony rzemieślnika zrozumiemy lepiej, gdy przyjrzymy się *sine ira et studio* jego położeniu. Podczas, gdy wielki przemysłowiec rozporządza odpowiednim kapitałem i widzi przed sobą naoścież otwarte podwoje wszelkich instytucyj kredytowych, rzemieślnik nie posiada odpowiedniego funduszu pieniężnego dla ustawicznego rozszerzania pola swej działalności i nadaremnie od świętej pamięci dobija się o rzeczywisty, a nie fikcyjny, tani kredyt. Ponter tat industryalny posiada odpowiednią praktykę i wykształcenie, potrzebne dla oryentowania się w niespodziankach i wybrykach rynku wszechświatowego; znajduje on zresztą poparcie pod tym względem w swych ajentach, giełdzie i rozgałęzionej prasie, pozostającej na jego usługach. Jego zaś słaby współzawodnik posuwa się tylko naprzód, macając pociemku. Wskutek braku inteligencyi i rutyny kupieckiej, wskutek niedostatecznego wykształcenia wtłacza on swą produkcyę w szranki li tylko miejscowego zapotrzebowania i nie jest w stanie przewidzieć i wyzyskać konjunktur, sięgających po za mury jego rodzinnego miasta lub miasteczka. Na domiar złego rzemieślnik zamiast zrozumieć, iż oświata może mu dać silny oręż do ręki, zachowuje się w obec niej nie tylko chłodno, lecz wrogo. Inspektorowie przemysłowi Austryi uskarzają się od lat wielu, iż majstrowie ostudzają w swych terminatorach zapał do wiedzy, powstrzymując ich od uczęszczania do szkoły. A taki wstręt do nauki pogarsza całą sytuacyą i rzuca obecnego terminatora, a przyszłego rzemieślnika na pastwę losu, w wir produkcyi wymiennej bez umiejętności sterowania swą wątłą łodzią. Ta sama obojętność i opieszałość rzemieślnicza występuje jeszcze dobitniej na innem polu — w dziedzinie działalności stowarzyszeń rzemieślniczych. Stowarzyszenia te, po których spodziewano się bardzo wiele i które miały drobnych producentów zwartym szykiem prowadzić do boju przemysłowego, a materyalną ich słabość powetować potęgą duchową — jednością, stowarzyszenia te tracą poparcie ze strony tych, dla których miały stanowić deskę ratunku. W drugim inspekcyjnym okręgu dolnej Austryi w 1892 r. w 18 proc. stowarzyszeń zgromadzenia zupełnie nie miały miejsca, a w 31 proc odbyło się po jednem zebraniu. Nie reprezentując w ten sposób zgoła siły społecznej, tracą oczywiście rzemieślnicy wpływ na maszynę państwową i nie są w stanie oddziałać na wolę prawodawstwa. Zamiast chóru protestu przedstawiają tylko wiązankę luźnych skarg i żalów; zamiast silnej duchem jedności gromady widzimy brnących samopas luzaków. Łatwo zrozumieć, iż skutki takiego „*laissez faire*" są fatalne. Wobec nierównej walki z wielkim kapitałem doznaje rzemiosło zupełnej porażki, gdyż szeregi jego rozrzedzają się z każdym niemal dniem. Dane urzędowe dowodzą, iż wzrost wszystkich ogółem zakładów przemysłowych nie dotrzymuje kroku wzrostowi ludności, natomiast zaś nabrzmiewają coraz bardziej rozmiary oddzielnych warsztatów i fabryk. Ten przewrót ilustruje najlepiej statystyka podatku dochodowego. W Wiedniu n. p. od 1869—80 r. ludność wzrosła o 19,5 proc., ilość zakładów przemysłowych o 12,3 proc., podatek dochodowy o 5 proc., lecz od 1880—90 r. ludność wzrosła o 16 proc., ilość zakładów przemysłowych już tylko o 7,5 proc., podczas gdy podatek dychodowy powiększył się aż o 19,6 proc. Typ więc drobnego zakładu przemysłowego podlega zagładzie i gdyby rzeczy miały dalej pójść tym samym trybem, rzemiosło musiałoby

w Austryi w krótce przejść do zabytków przeszłości. W przeciągu pięcioletniego okresu 1880—5 r. podatek przemysłowy w dziedzinie wielkiej industryi wzrósł co najmniej o 10 proc., w sferze zaś pozostających w tyle średniego i drobnego przemysłu o 8 proc. Kontygent wielkich zakładów przybrał w tym czasie o 17 proc., drobnych zaś tylko o 4,5 proc. Każda gałęź wielkiego przemysłu wykazuje postęp, o drobnym da się to powiedzieć w zastosowaniu do bardzo niewielu grup. Przytoczę z *Teifena*, z którego pracy: *„Das sociale Elend in Oesterreich“* w obecnym artykule korzystam, następujące liczby, które zadają kłam wszelkim deklamacyom o rozwoju drobnego przemysłu w Austryi:

	W 1869 r.	1880 r.	1890 r.
Ślusarzy w Wiedniu	657	645	621
Złotników było	546	573	546
Rękawiczników	243	180	146
Introligatorów	306	262	240
Stolarzy	1768	1663	1503 i t. d.

Cyfry te odsłaniają cały ogrom tragedyi w położeniu rzemiosła i przemawiają do nas skargą i smutkiem tych tysięcy „maluczkich“, tracących dotychczasowy grunt pod nogami; cyfry te opowiadają nam o życiowych przejściach tych tysięcy pracowitych ludzi, strącanych niewiadomo za co z Tarpejskiej skały ekonomicznych warunków w bezdeń nędzy i rozpaczy. Ponieważ w walce konkurencyjnej silniejsi starają się wpierw zgładzić słabszych, a następnie pożerają się wzajemnie, to jako nieodzowny skutek tej *„bellum omnium contra omnes“* muszą wystąpić dwa zjawiska: na trupach poległych towarzyszy panoszą się i rozpierają pojedyńcze wielkie zakłady przemysłowe, a powtóre ilość tych ostatnich w wielu zawodach maleje absolutnie w pewnych odstępach czasu. Tak n. p. w przeciągu 1880—5 r. widzimy 130 browarów, prowadzonych na wielką skalę, w przeciągu zaś następującego pięciolecia tylko 114. W pierwszym okresie największy roczny podatek wynosił 1.5 mil. guld., w drugim już 2 mil. Możemy więc powiedzieć, że przemysł rozwija się więcej intensywnie, niż ekstensywnie.

Nie trzeba posiadać bujnej wyobraźni, by przedstawić sobie, jak tę nie dającą się zaprzeczyć doniosłą rozwojową tendencyą odczuwa na swej skórze kopciuszek przemysłu — rzemieślnik. Oto co powiedział styryjski poseł Ludwik w komisyi celnej 1892 roku: jego mniemaniem drobny żelazny przemysł jest na drodze zupełnego zaniku, wpadając do paszczy wielkiej industryi i stowarzyszeń akcyjnych, które są organami jednego olbrzymiego Alpejskiego Górniczego towarzystwa. To ostatnie potrafiło poddać swej władzy całe terytoryum produkcyi surowego żelaza, którą kieruje według swego widzimisię i w interesach swej własnej kieszeni. Czy z takim np. olbrzymem, uzbrojnym w 30-to milionowy kapitał mogą iść pomyślnie w zawody mierzyny i karły przemysłowe? Na to pytanie życie już dawno dało swoją odpowiedź.

Zobaczmy teraz, jak się mają przedstawiciele stanu średniego, działający na innych polach narodowego gospodarstwa. Handel tylko pozornie odbiega od nakreślonego powyżej obrazu. Tu również wre i kipi zapaśnicza walka pomiędzy silniejszym, a słaszym wspózawodnikiem.

Lecz zważmy, iż drobny handel służy za schronisko dla wszyskich rozbitków, którzy próbowali szczęścia na szerokich przestworzach morza spekulacyi i przemysłu. Wskutek tego, w miarę pogarszania się warunków życiowych w industryi, drobny handel, jako nie wymagający wielkiego nakładu, staje się przytułkiem dla coraz liczniejszych rzeszy byłych przedstawiciel wyższych nieco sfer przemysłowych. Od 1869—80 wzmogła się liczba kramikarzy o 89 proc., podczas gdy ich siła podatkowa wzrosła tylko o 12 proc. W sferze tej, wśród drobiazgu handlowego konkurencya sroży się coraz silniej i sprawia straszne spustoszenia, bądź przez rozwielmożnienie się drobnych sklepików, bądź za sprawą stowarzyszeń konsumcyjnych i roznosicieli, bądź z winy wielkich magazynów.

Te ostatnie zagarniają handel nie tylko w wielkich miastach, lecz wdzierają się w sferę drobnomiejską. Robiąc większe obroty, korzystając z większych przywilejów i ulg, mogą się one zadowalniać mniejszym zyskiem, co naturalnie przechyla szalę zwycięztwa na ich stronę. W dodatku stopa procentowa jest niezmiernie wysoką wskutek tego, iż z basenu kapitału narodowego część takowego zostaje odprowadzoną przez różne rury i rurki do sfery państwowego kredytu. W znacznych rozmiarach przyczyniają się ku spotęgowaniu nędzy wśród różnobarwnej masy średnich warstw: niepewność bytu i kapryśny charakter konjunktur.

Ilość bankructw i licytacyi stwierdza najwyraźniej, iż nie wszystko jest w porządku w państwie produkcyi narodowej. W latach 1880—6 ilość licytacyi wahała się pomiędzy 963 a 1093. 14.017 różnych podatków, wynoszących koło 0,5 mil. guld. ściągnięto w Wiedniu w 1881 roku drogą egzekucyi. 1890 rok wykazał pogorszenie się tego zjawiska, gdyż 30,6 tysięcy podatków w sumie 1 miliona uiszczono drogą przymusową. Bieda więc coraz bardziej opasuje swą obręczą średniozamożną klasę społeczeństwa, którą gnębią i wytępiają nieubłagane wyroki losu, nielitościwe działanie praw ekonomicznych. Ciągłe szeregowanie się pomyślnych i krytycznych czasów, wywołujące niepewność egzystencyi upośledzonego drobnomieszczanina, zmusza go, a raczej jego potomstwo, do szukania nowych dróg, lepszych źródeł zarobkowania. Lecz wszędzie napotyka nasz nieborak zapory, tamy i rygle, które dają się usunąć tylko przy pomocy kapitału. Pozostaje tylko jedna dziedzina, nie wymagająca wielkich funduszów, a mianowicie zawody liberalne, do których garnie się coraz więcej młodzież średniego stanu, aż nareszcie i na tem polu występują objawy przepełnienia. To ostatnie nie tylko jest mytem, lecz, jak łatwo wywnioskować z wyżej wyłożonego biegu rzeczy, jest w pewnej mierze związane z całem ukształtowaniem się stosunków w łonie obecnej społecznej produkcyi. Chwiejność zysków i zarobku w dziedzinie drobnego przemysłu i handlu idzie w Austryi w parze z tłumnem napływaniem młodzieży do średnich i wyższych szkół. Liczba aspirantów do zawodów liberalnych wzbiera z każdym rokiem, lecz bynajmniej nie w prostym stosunku do wzrostu ludności. Szczególniej podskoczyła ona w górę po latach większych kryzysów, po zdziesiątkowaniu szeregów, przypartego do mura drobnomieszczaństwa. Od roku 1883—92 ilość młodych ludzi w wieku 20—25 lat wzrosła o 5 proc., liczba zaś kończących uniwersytet młodzieńców o 20 procent. Zwłaszcza wzrasta niepomiernie kategorya kandydatów do posad nauczycielskich, a ci jak wiadomo pochodzą przeważnie ze stanu średniego. W 1879 roku zdaje nauczycielski egzamin o 237 proc. osób więcej, niż w 1870 roku. Nie znaczy to bynajmniej, iż zawód pedagogiczny stał się bardziej ponętnym, że więcej jednostek chce wstąpić na tę wzniosłą i szlachetną arenę służby społecznej. Dowodzi to tylko, iż wbrew może własnym zapatrywaniom inteligentni biedacy obierają ten chlebodajny zawód, jako najbardziej wygodny, gdyż daje możność otrzymania miernego zarobku bez wszelkiego zapasowego funduszu.

Popędy własnej duszy, jej pragnienia i uczucia odchodzą na dalszy plan i zostają złożone w ofierze na ołtarzu troski o jutro, o przyszłość, o szarą godzinę. Kapłaństwo — cyfrom nikt chyba nie zaprzeczy — również znajduje się w związku z tempem przemysłu. Podczas ruchliwego okresu, następującego po kryzysie 1873 r. liczba teologów skurczyła się do 738. Przypływ świeżych sił do klasztorów został zatamowanym. W następujących mniej pomyśl-

5)

MOGIŁA.

LISTY I NOTATKI

MAURYCEGO ZYCHA.

———

(Ciąg dalszy.)

13 grudnia.

Mam przyjemność oświadczyć Ci, że zrobiłem znakomity wynalazek. Jaki to jest wynalazek, wyjaśni następująca przypowieść.

Cztery dni temu w godzinie obiadu skierowałem me kroki do restauracyi sióstr Kupferschmidt i zasiadłem na miejscu w kącie dużej sali. Stoluje się tam dosyć znaczna ilość pisarzy i poborców z powiatu, poczty, biora akcyzy i t. d. Tego dnia dostrzegłem w znajomem gronie kogoś obcego. Był to młody kawaler ogromnego wzrostu z wypomadowaną czupryną, bardzo uroczo rozebraną pośrodku w kształt dwu półkól globu, — z wyłupiastemi oczyma i wspaniałym apetytem. Miał na sobie korty w gatunku wyborowych, kamaszki najmodniejszego fasonu, mankiety i kołnierzyk białości chyba nieprawdopodobnej. Dobroduszna fizyognomia tego mocarza przypominała mi kogoś znajomego. Co dziwniejsza, że i ów wyperfumowany zjadacz rosołu obserwował mię bez przerwy. Kładł do paszczy wielkie kawały pieczeni, gryzł je, ruszając szczękami tak forsownie, jakby chciał pokazać sposób jedzenia, praktykowany przez społeczeństwa kajmanów, wytrzeszczał oczy jeszcze bardziej i ani na chwilę nie odrywał ich odemnie. Zjadłszy obiad, wstał z kanapy i zbliżył się wprost do mnie.

— Nie obrazi się pan, — zaczął po rosyjsku, — przepraszam najpokorniej... Czy nie przeszkadzam panu?...

— Ani trochę...

— Pan mi ogromnie przypomina jednego kolegę ze szkół. Nazywał się, pamiętam, Zych. Czy pan przypadkowo nim nie jesteś?...

Potwierdziłem jego bystry domysł... W owej chwili rozdarły się mgły niepamięci i stanęła mi w oczach, jak żywa, nieboszczka klasa czwarta ze wszystkiemi urwisami i łotrami, którzy stanowili jej chlubę i „tytuł do sławy“.

— „Cynamon“! — zawołałem po polsku... Rozrzewnił się poczciwina Rogowicz, „Cynamonem“ zwan i porwał mię w objęcia. Miętosił mię długo i w sposób taki, jakby miał zamiar zbadać przy tej okazyi grubość i wytrzymałość moich kości. Czy ty pamiętasz, Janku, „Cynamona“? Wyrzucono go, nieszczęśnika, z czwartej klasy za niezrównaną chwiejność przekonań na punkcie *accusativus'a cum infinitivo* i za stałe wyprawianie burd staremu matematykowi. Sławny był z tego, że zjadał pełny tornister chleba i bułek, oraz z tego, że umiał ryczeć w niebogłosy z zamkniętemi ustami.

Obecnie ten żarłok ma najpierwszy w Siedlcach sklep galanteryjny i, jak mi zaraz oświadczył, żeni się z panną Maryą Kłuckę, córką wice-naczelnika powiatu wieprzowodzkiego... Uważasz? — Z córką wice-naczelnika powiatu... Zanim zdołałem złożyć mu życzenia, już nalegał z forsą niesłychaną, aby iść z nim bez zwłoki do tej narzeczonej. Wzbraniałem się rozpaczliwie, demonstrowałem żółty guzik, buty i t. d., ale nic nie pomogło. Ujęty jego koleżeńskiemi umiesieniami, poszedłem.

Fiu-fiu! proszę pana, co za dom, co za ton, co za dywany... Panna, — żeby nie powiedzieć za mało — anioł. Oczy, jak dwie gwiazdy zaranne, włosy zaplecione w jeden warkocz dosięgają kolan, usta... bogowie! szanowni bogowie olimpijscy..... Te usta zmuszają cię do marzenia o rzeczach żałosnych i smutnych, budzą w piersiach bezcelowe westchnienia i jakąś tęsknotę. Spojrzenie ogromnych szafirowych oczu przeraża cię, przenika, dręczy i ucíska, jak namiętna, nigdy niesłyszana melodya...

nych latach widzimy na ławach uniwersyteckich już 987 teologów, a od 1883—92 r. przeciętna ilość ich wynosi aż 1326. Nie chcąc zbytnio rozciągać swego artykułu, poruszę jeszcze w kilku słowach położenie austryackiego urzędnika. W 1892 r. przeciętny austryacki urzędnik (wykluczając niższą służbę) otrzymywał 1126 guld., ten sam urzędnik, który wiecznie ma na końcu języka wyrazy: żona i troje dzieci. Czwarta część znajdujących się na służbie państwowej dostawała tylko po 700 fl., połowa 1000 fl., a 6 proc. przeszło 2000 fl. Jeszcze smutniej stoją sprawy wśród urzędników kolei prywatnych. Połowa wszystkich tych „kulis“ jest opłacaną brzmiącą, jak bajka jakaś, marną pensyą 800 guld. Ten nędzny stan materyalny tłomaczy nam ogromną śmiertelność wśród dzieci subalternów. Nie dziwmy się również, że wampir lichwiarstwa wysysa głównie krew bezbronnej i słabej średniej klasy; a między innemi i urzędnika. To ciągłe pasowanie się i przekomarzanie z życiem napełnia serce nieboraka piołunem smutku i goryczą zwątpienia. Zaglądając ciągle w twarz nędzy, suszy on wiecznie sobie głowę nad kwestyą, jak powiązać koniec z końcem, dzień dzisiejszy z jutrzejszym, jak nakarmić i obuć dzieci, jak je wykształcić i przysposobić do poważnej, nieubłaganej walki życiowej i jak wreszcie ocalić swe córki od staropanieństwa lub hańby. *H. F.*

POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej.

W młodoczeskich „*Narodních Listach*“ rozpisuje się pewien publicysta słowacki o stosunkach politycznych na Węgrzech, jak następuje:

„Obecnie Słowaków zajmuje w stopniu najwyższym kwestya założenia gimnazyum słowackiego, które ma kres położyć dotychczasowemu wynaradawianiu się młodzieży inteligentnej słowackiej. Zbiera się teraz fundusz, który dla gimnazyum niższego ma wynieść 100 tysięcy zł., a zaś dla gimnazyum wyższego 200 tysięcy. Aby z funduszem tym nie stało się to samo, co z dawniejszą „*Matica Slovenska*“, zabraną za rządów ministra Tiszy, otrzymują ofiarodawcy pokwitowania, w których zastrzeżono, że pieniądze będą im zwrócone, jeżeli gimnazyum nie będzie odpowiadało celom przez założycieli wytkniętym. Zrazu myślano, że powiedzie się zebrać fundusz na wyższe gimnazyum, teraz atoli nabrano przekonania, że funduszu nie będzie, gdyż mimo nawoływań prasy zebrano w dwóch latach tylko 80 tysięcy. Zaniechano więc zamiaru i zadowolono się myślą założenia gimnazyum niższego, choć i to trafia na trudności, gdyż niedostawających 20 tysięcy niepodobna będzie zebrać w kraju.

„Rząd madziarski jest tego przekonania, że w Węgrzech jest każdy Madziarem, każdy kłos na polu kłosem madziarskim. W powiecie orawskim w Miedzyhradnem pewien majster kamieniarski, nie umiejący po madziarsku słowa, dał się zapisać przy liczeniu ludności wraz ze swoją rodziną, również madziarskiego języka nie znającą, za Madziara. W Słowacyi ma tylko ten prawo bytu, kto jest Madziarem, każdy inny jest zdrajcą ojczyzny! Z taką to wyrabiającą się powszechnie opinią trudno Słowakom za swoje prawa narodowe walczyć. To też istnieją obawy, że rodzice słowaccy bać się będą tego, aby dzieci swoje do gimnazyum słowackiego posyłać. Gimnazyum słowackie zamknie bowiem wychowańcom wstęp do służby rządowej, którą dziś każdy dla łatwego zarobku i pewności utrzymania przenosi nad każdą inną.

„Ale Słowacy walczyć muszą i innymi sposobami, na innem polu. Teraz podjęto usiłowania w celu utworzenia silnego stronnictwa narodowego, któreby występowało do walki przy sposobności wyborów do rady gminnej, powiatowej i wyborach do sejmu. Dopóki to nie nastąpi, dopóty Słowacy niczego nie osięgną. Bogaczów, szlachty i magnatów nie mają za sobą Słowacy, trzeba więc szukać im podpory w ludzie wiejskim, kupcach i rzemieślnikach. Duch narodowy jest dotychczas przebudzony wśród słowackiej ludności protestanckiej. Tymczasem bez współudziału ludności katolickiej Słowacy nic nie osięgną. Nie ma ani jednego powiatu gdzieby Słowacy protestanccy mieli większość wobec katolików, których jest 2 miliony, protestantów zaś tylko 600 tysięcy. Trzeba więc na cały lud słowacki bez względu na wyznanie agitacyą rozszerzyć. A duchowieństwo musi tej agitacyi pomagać, ponieważ jego wpływ jest znaczny.

Przemysłowcy i kupcy z łatwością przystąpią do opozycyi, ponieważ handel i przemysł cierpi skutkiem monopolów; dużo stąd pomiędzy nimi niezadowolonych. Powinno się w tym kierunku pracować, aby powszechnem stało się przekonanie, że kto Słowak rodem, powinien być świadomym swych praw narodowych.

„Stan rólniczy wśród Słowaków ma mało zrozumienia dla potrzeb narodowych. Jest on w większej części powiatów biednym i zawisłym. Już ciężki sposób wyżywienia robi go okojętnym i zniechęca do walki za prawa narodowe. Nie widzi on korzyści w razie zwycięztwa, na te korzyści trzeba więc zwrócić mu uwagę. Chcąc to osięgnąć, powinna agitacya narodowa mieć na oku interes materyalny ludu i dbać o jego dobro, wówczas lud cel jej zrozumie. Na Węgrzech dzieje się tyle nadużyć, że bez trudności można je rólnikowi wskazać, są niemi iście „baszowskie“ postępowanie i przekupstwo służnych (starostów), sędziów i urzędników wszelkich kategoryi, którzy nieświadomość ludu wiejskiego wyzyskują. Lud wiejski widząc, że stronnictwo narodowe dba o jego dobro, przyłączy się do niego, a wówczas rząd madziarski więcej będzie się liczyć ze Słowakami.

„Lud słowacki nietylko z tego powodu, że jest biednym, samodzielnie nie występuje. Tej samodzielności pozbawia go szlachta wynajmująca na pastwiska góry i wymuszając tym sposobem dni robocze i zniewalając do głosowania podczas wyborów według jej myśli. Agitacya powinna w pierwszym rzędzie być skierowaną na lud mieszkający w okolicach żyznych, jak w Preszburskiem, Nitrańskiem i na Dolnym Trenczynie. Tam lud jest ruchliwszy i śmielszy, dałoby się łatwo pociągnąć masy. Tam sięga już wpływ politycznie dojrzalszej ludności morawskiej. W Preszburgu lub Tyrnawie powinno powstać centrum politycznej i narodowej agitacyi.

Czem był Bismark dla Polaków poznańskich, tem Koloman Tisza dla Słowaków. Prześladowanie narodowości słowackiej dosięgnęło szczytu i dotąd tak jest, że czy to zebranie polityczne, czy Kółka rólniczego, wszystko, co ma charakter słowacki, rząd zakazuje. Ale prawda i sprawiedliwość ma to dobre za sobą, że im jest bardziej bitą i poniewieraną, tem jest zdrowszą i silniejszą. Tak też prześladowania madziarskie ducha słowackiego nie złamały, ale go przebudziły.

*

Słowackie „*Narodnie Nowiny*“ polemizują z czeskimi „Narodnimi Listami“ z powodu nagany, jakiej udzielił Słowakom organ młodoczeski, potępiając ich za współudział w agitacyi

---

Każdy ruch głowy, obarczonej przepychem włosów chwyta się twej pamięci i trwa w niej, niecąc tam ciągłą a dziwną rozkosz. Jest to jeden z tych tajemniczych kwiatów, o których poeta mówi, że zakwitają w miejscach samotnych, że są pięknością dnia, a noc kocha je, jak rosę. Jest to dziewica piękna, niby senne widziadło, czarująca każdym promyczkiem włosów, — no i głupia, jak stołowe nogi.

Kiedyśmy przyszli i ja zdążyłem zająć taką pozycyę, aby przedhistorycznemi epizodami mego uniformu oczu dam nie obrażać, wyszedł z gabinetu sam pan pomocnik naczelnika powiatu. Piękny to, tęgi i wykwintny mąż stanu. Wąs zawiesisty, ruchy co najmniej kapitańskie. Zwrócił się do mnie z niespodziewaną galanteryą i oświadczył, że i on był niegdyś farysem, czyli junkrem jakiegoś tam pułku. Ponieważ w rozmowie ze mną posługiwał się językiem rosyjskim, a pani i panna rozmawiały z Rogowiczem po polsku, zauważyłem, że jestem z pochodzenia polakiem. Pan Kłucki uśmiechnął się pobłażliwie i począł tłomaczyć myśli swe na język swojski. Myśli te były głębokie. Wszczął dyskurs o polityce (widocznie ze względu na oświadczenie, że jestem polakiem) i bardzo gładko mówił o szowinizmie, niewykorzenionym dotychczas, o tem, że „*polaki*“ niczego się dotąd nie nauczyli, a wiele zapomnieli, o tem, że młodzież, — w szczególności warszawska, — ulega łatwowiernie poduszczeniom nikczemników, mieszkających za granicami cesarstwa... Wszystkie te maksymy o charakterze policyjno-moralnym bardzo dowcipnie i delikatnie do mnie kierował. Nazwisko p. vice-naczelnika błąkało się w mej pamięci od chwili przekroczenia progów jego domu, kojarząc się ze smutnemi wspomnieniami. Pewna broszurka, opowiadająca o dziejach dobrowolnego powrotu unitów na łono cerkwi, wylicza czyny jakiegoś Kłuckiego... Może to kłamstwo, może ja się mylę...

Pasyami lubię takich ludzi! Wiesz, że nie jestem patryotnikiem, że umiem cenić fakty, socyologicznie dokonane, że widzę zjawiska ekonomiczne trzeźwo i bystro, a jednak, patrząc na oblicze p. Kłuckiego i słuchając jego wywodów, podlegałem paroksyzmom ujemnej rozkoszy, tego dygotania całej duszy ze złego śmiechu, co wyrabia w gruczołach podusznych nadmierny zapas śliny... Od chwili, kiedy elegancki gospodarz zadał mi kilka pytań uprzejmych, a świadczących zazarem o badawczości jego umysłu, prześcignąłem go w maksymach. Dowodziłem z logiką Siengalewiczów o konieczności odpowiedzenia radosnym okrzykiem na wołanie Kojatowiczów; zapytywałem wprost, specyalnie pana Kłuckiego o to, czy „słowiańskie potoki wpadną do rosyjskiego morza, czy też ono wyschnie“? Przyszły teść Rogowicza otaczał się kłębami dymu i chrząkał w sposób nic nie mówiący. Miałem nadzieję, że postara się o powstrzymanie mojego entuzyazmu, że przytoczy polityczne zdanie jakiegoś mniej zdecydowanego poety. Nic jednak nie przytoczył. Chrząkał tylko obyczajem głębokich dyplomatów, a koniec końców dał folgę słabości ludzkiej, wyrażając nadzieję, że herbata musi już być na stole.

W pokoju stołowym posadzono mię obok uroczego dziewczęcia. Cóż to za dusza niewinna! Mówiła do mnie, tak pięknie wywracając białka swych ogromnych oczu, — rzecz zrozumiała, — o balach tutejszych, uskarżała się na nudy i brak czegoś, co nazwała towarzystwem, nie określiwszy, niestety! co ten wyraz oznacza; z zachwycającą naiwnością dawała mi do zrozumienia, ilu już i jak głęboko rozkochała w sobie *oficerów* naszego pułku. Nadeszła wreszcie chwila, którą w trwodze przeczuwałem: — zaczęła mi zadawać tajemnicze i niezrozumiałe pytania, kazała zgadywać, o czem w danej chwili myśli... Domyśliłem się jednej tylko rzeczy, tej mianowicie, że Rogowiczowi kiszki się pewno przewracają z zazdrości, to też nie odgadłem ani jednej myśli jego narzeczonej. Nie mogłem wpaść na domysł, kogo oznaczają dwie gałeczki z chleba i wymieniałem takie osoby i kombinacye (między innemi połączyłem ją, pannę Maryję, i popa Anastazego Serafinowicza Biezdonyszkina), że piękna rusałka nabrała zapewne najfatalniejszego wyobrażenia o mojej inteligencyi.

Dopiero około godziny jedenastej Rogowicz

przeciw polityce kościelnej rządu madziarskiego. Pismo słowackie tak pisze:

„Narodni Listy“ zamieściły z powodu kościelnej polityki p. Wekerle'ego cały szereg artykułów, o których nie można powiedzieć, że autor ich obznajmiony jest z naszymi stosunkami. Nas artykuły te dotknęły boleśnie. Jak mogą Czesi, nam tak przychylni i sympatyczni, a zawsze gotowi do pomocy słowem i czynem zapoznawać istotę madziarskiego liberalizmu. Wszystkie niemadziarskie narodowości w Węgrzech oświadczyły się przeciw polityce kościelnej rządu. Jak przyszły „Narodni Listy“ do przekonania, żeśmy paktowali z ultramontanami według zasady: do ut des, i żeśmy od naszych sojuszników zażądali części łupu, tego nie rozumiemy. Narody niemadziarskie instynktem samozachowawczym, jak jeden mąż powstały przeciw madziarskiemu liberalizmowi, ponieważ nie tylko rozumem się rządzą, ale i czuciem, które im powiada, że pod płaszczykiem liberalizmu ukrywa się tyrania narodowościowa, egoizm zachłanny jednego narodu wobec wszystkich innych, że tak zwane małżeństwo cywilne, ma być nowym środkiem assymilacyjnym i unifikacyjnym, jednem słowem madziaryzacya, co sam Teleksy, referent komisyi przyznał, co można czytać w uzasadnieniu, przedłożenia rządowem.

„Dla tego musimy odrzucić radę „„Narodnich Listów““, abyśmy rzucili się w objęcia liberalizmu, o którego zasadach ma autor rzeczonych artykułów tak mylne pojęcia. Czy nie wiedzą „„Narodni Listy““ co się u nas robi w imię tych zasad liberalnych, począwszy od ucisku narodowego, skończywszy na niewolnictwie sierot słowiańskich. Nie otwarły się im oczy wobec wyroku, który zapadł w Klużu i Tordzie, zakazów zgromadzeń, wypędzania studentów i gimnazyastów słowackich ze wszystkich szkół krajowych, wobec upadku naszej konstytucyi i emigracyi, skutku nędzy w bogatych okolicach słowackich?

Jeżeli nie wiedzą, niechaj się poinformują wpierw o naszych stosunkach, ażeby o nich sąd wydawać...“

* *

W młodoczeskich „*Selskych Listach*“ czytamy:

„Osławiony słowianożerca niemiecki, publicysta Pfister jest niewyczerpanym w wynajdowaniu nowych haseł politycznych. Niedawno przeprowadził naukowo dowód, że Niemcy w Czechach są tubylcami i tylko w poczciwości swojej stali się mniejszością tym sposobem, że naprzykszającym się Słowianom pozwolili w tejże niemieckiej krainie pasać bydło, co jest w każdym razie odkryciem nowem, nie tak etnograficznem lub historycznem, jak politycznem. Przeciw panslawizmowi trzeba postawiś pangermanizm. Bo, co będzie powodem walki światowej w przyszłości? Antagonizm pomiędzy światem germańskim, a słowiańskim. Nic innego! W zapasie olbrzymim, dotąd niewidzianym, znajdą się wkrótce te dwa wielkie plemiona w walce na śmierć i życie, które z nich w Europie stanie się panującem. A potem biada narodom germańskim.

„Co łączy narody słowiańskie? pyta się p. Pfister? Oto nieuzasadniona ich nienawiść ku Niemcom.

„Okazało się to przed trzema laty na wystawie pragskiej.

„Nie rozumieją się, nie znali się dawniej, mają całkiem odmienne obyczaje, ich przeszłość jest odmienną, a jednakowoż zbliżają się do siebie i szukają punktów stycznych. Czem jest ta spójnia, która ich łączy? Oto wszyscy jednako nienawidzą Niemców...

„Dla tego naturalnym obowiązkiem Niemców, nad którymi jeden panował Wuotan, ażeby się połączyli. Niemcy gdziekolwiek mieszkają, Szwajcarzy, Luxenburczycy, Bałtowie, Alzatczycy, Flamandczycy, Holendrzy, Duńczycy, Szwedzi, Norwedzy, Anglicy i Amerykanie niechaj się zjednoczą pod wspólnym sztandarem matki Germanii i niech się udadzą w pochód przeciw Słowianom!

„Biedny wszechgermański marzyciel! Słowian łączy według jego mniemania wspólna nienawiść ku Niemcom, bezwątpienia Germanów połączy wzajemność i miłość i ta sama uzasadniona nienawiść ku Słowianom. Według p. Pfistera jądrem tej koalicyi będą Prusy, ku którym Duńczycy, Holendrzy i Szwedzi szczególną płoną miłością...“

* *

„*Opawski Tydennik*“ organ Czechów śląskich, redagowany w duchu staroczeskim pisze:

„W księstwie Cieszyńskiem żyje według ostatniego spisu ludności Niemców 41,714 o 4,849 więcej aniżeli w r. 1880; Czechów 73,397, o 23,694 więcej niż w r. 1880, Polaków 177,418, o 23,694 więcej niż w roku 1880. Od roku 1880 do 1890 przybyło Czechów zaledwie 3 procent, Polaków atoli 15 proc. Wynika ztąd przedewszystkiem, że w Cieszyńskiem żyją Czesi, że ich tam w rzeczywistości więcej aniżeli w Opawskiem, gdzie Czechów jest tylko 56,942, a dalej, że Polaków tam znacznie więcej przybywa aniżeli Czechów. Nie czeszczą się więc wsie polskie, lecz przeciwnie czeskie polszczą. Utyskiwania Polaków na Czechów są bez wszelkiej podstawy, tak jak bezpodstawną i niesprawiedliwą byłaby równoprawność, której rządą cieszyński korespondent „Nowej Reformy“. Ponieważ, jeżli urzędnik dla 14 procent ludności niemieckiej w Cieszyńskiem ma umieć po niemiecku, to tem większe prawo mają Czesi domagania się znajomości języka czeskiego, których jest 24 procent.

„Więc prosimy panów korespondetów do pism krakowskich, aby to wzięli do wiadomości i nie domagali się równouprawnienia na zasadzie niesprawiedliwej. Tym sposobem zanikło by źródło wszelakich nieporozumień pomiędzy nami Czechami a Polakami, z której starają się skorzystać nasi wspólni nieprzyjaciele — Niemcy.

K.

BADANIA NAUKOWE.

Prądy społeczne i prawo.

II.

Skreśliliśmy w grubych zarysach *teoryę* prawa karnego, którą młoda szkoła nazywa teoryą społeczną, czyli społeczno-polityczną.

Przypatrzmy się teraz *praktycznym* postulatom młodej szkoły prawniczej.

Winniśmy przedewszystkiem zaznaczyć, że przedstawienie tych postulatów większe nasuwa trudności, niż streszczenie teoryi. Pod względem teoretycznym zgadzają się bowiem mniej, lub więcej wszyscy przedstawiciele młodej szkoły, co do postulatów praktycznych panuje jednakże pewna sprzeczność w poglądach wybitnych członków „Zjednoczenia“. Różnice te odnoszą się głównie do kwestyi, w jakiej mierze, do jakiego stopnia konsekwencyi wyniki teoretyczne przyodziać należy w realną formę przepisów karnych. Pomiędzy członkami „Zjednoczenia“ jedni reformatorowie są mniej, drudzy więcej radykalni. Ogólnie biorąc, miarodawczemi są dzieła i rozprawy Liszta, ogłaszane w „Zeitschrift fuer al-

---

zdołał zawiesić proces wlepiania oczu w narzeczoną, pożegnać aż do następnego dnia rodziców i pannę, a mnie uwolnić od ich towarzystwa. Szliśmy po pustych ulicach mieściny w milczeniu. Dął ostry wiatr i suche płatki śniegu cięły nas po twarzach. Milczenie, jakie zachowywaliśmy obadwaj, sprawiało mi prawie taką samą satysfakcyję, jak licytowanie się z panem Kłuckim na patryotyzm wielkorosyjski. Już na wizycie zauważyłem, że Rogowicz mienił się podczas przemowy pana domu, że słuchając moich deklamacyj, gładził wypomadowaną czuprynkę i wiercił się na krześle. Wiedziałem, że ten grubonogi i wielkogłowy pojmuje tam coś, mało wiele z przemierzłych spraw polityczno-policyjnych i pojmuje nie tak, jak pan Kłucki.

— Bardzo miły dom, — rzekłem, gdyśmy wchodzili na główny plac miejski. Co to za śliczna panienka twoja narzeczona!...

Rogowicz pochylił się, wziął mię pod rękę, przycisnął mocno do siebie i rzekł z namiętnością, odpowiednią do jego tuszy:

— Gdybyś ty wiedział wszystko, Zych, gdybyś ty wiedział..

— No? — zapytałem dosyć niedbale, w oczekiwaniu namiętnie-norymberskich wynurzeń.

— Wiesz, — ja tak się w niej zakochałem, że jakby ona, czego Boże broń, umarła, albo wyszła za kogo innego, — to wierz mi, sumiennie ci mówię, jak pragnę Boga przy skonaniu, wziąłbym i w łeb se strzelił!

— Bagatela! — zawołałem z mimowolną ironiją.

— Zych! — mówię ci — ona jest dobra... A zresztą zobaczysz... U nóg jej będą leżał... zobaczysz...

— Jakimże sposobem ja podobne rzeczy mogę zobaczyć? Zastanów się, Cynamonie...

— Zobaczysz! — mówił, potrząsając mną, niby ręczną walizką. Przecież to jest najsłodsze serce. Ot, — jak mię tu żywego widzisz, zaraz po ślubie zerwę ze starémi. Nogą u mnie nie postoją!

— A to dla czego? — spytałem z udanem zdziwieniem.

— Cóż ty mię masz za takiego znowu... rzekł na wpół z płaczem.

— Dajże pokój! Przyznasz, że cała sprawa nie może mnie interesować w takim stopniu, jak ciebie. Przytem ja jestem człowiek zimny i unikający wszelkich wzruszeń, jak djabeł święconej wody. Bawołowaty młodzieniec sapał melancholijnie.

— Rzeczywiście, — rzekł po chwili z urazą. Cóż ciebie może obchodzić? Ale ja, widzisz myślałem, że jako stary kolega...

— Gdybym mógł być ci pod jakimkolwiek względem pomocnym...

— Właśnie że mógłbyś, Zych! — zawołał Rogowicz.

— Ja? Bój się Boga...

— Słuchaj, chodź do mnie na noc. Mieszkam tu naprzeciwko w zajeździe u Piernata. Są w numerze dwa łóżka...

— Ależ ja muszę nocować w koszarach. Nie wyobrażam sobie nawet, jakim sposobem dostanę się teraz. .

Powiesz rotnemu, żeś był u Kłuckich. Mój kochany, chodź, no, mój kochany...

Ujął mię w pół i pociągnął w kierunku zajazdu. W krótce stanęliśmy przed bramą. Zakopcona latarnia z czerwoną od frontu szybką rzucała drżące półblaski na ostatnie litery szyldu, wrota wiszące na jednym haku i wybrzeże kałuży, która od niepamiętnych czasów zajmuje tę część rynku oraz całą długość i szerokość sieni Piernatowego zajazdu. Rogowicz szedł przodem, z energiją rozbijając rzadkie błoto ogromnemi kaloszami. Z podwórza zawrócił na zewnętrzne schodki, tak wąskie i filgranowe, że zdawały się być zaledwie etnograficznym modelem schodów podlaskich — i wprowadził mię na galeryjkę pierwszego piętra. Namacawszy i otwarłszy drzwi, wciągnął mię do izby, cuchnącej szczurami i czadem zawcześnie przymkniętego pieca. Kiedy on zapalał świecę i wydobywał z walizki rozmaite specyjały z butelką dobrego wina na czele, — ja rozsiadłem się na wyściełanej kanapie, która pod względem rozmiarów mogłaby rywalizować z napoleońskiemi balkonami, i skupiałem wszystkie władze ducha w tym celu, aby przynajmniej głośno nie za-

gemeine Strafrechtswissenschaft“. Obok pism Liszta uwzględniamy głównie projektowaną w Szwajcaryi reformę prawa karnego.

Pierwszym postulatem młodego kierunku jest ustanowienie tzw. więziennych *kar nieokreślonych co do czasu* („unbestimmte Strafen“, „peines indéterminées“). W uzasadnieniu tego postulatu wychodzi młoda szkoła z założenia, że dotychczasowe kary więzienne, ściśle oznaczone co do czasu trwania, okazały się najzupełniej bezskutecznemi przeciw przestępcom z nałogu. Przestępca taki odsiedziawszy kilka lat w więzieniu np. za ciężką kradzież, połączoną z włamaniem, w krótkim czasie po uzyskaniu wolności dopuszcza się tego samego przestępstwa i t. d. in infinitum. Statystyka wykazuje ogromną ilość przestępców, karanych z rzędu po 6 i 7 razy za to samo przestępstwo. Przeciw takim przestępcom „z nałogu“, czyli „niepoprawnym“*) wymaga nowa szkoła zastósowania nieograniczonych co do czasu kar więziennych. Przy każdem więzieniu ustanowiona być powinna komisya, składająca się z przedstawicieli zarządu więzienia i sędziego, która wypuszczenie przestępcy na wolność dekretuje dopiero wtenczas, jeżeli na mocy długiej obserwacyi psychologicznej dochodzi do przekonania, że więzień w dalszem życiu zachowywać się będzie uczciwie i że ogółowi nie grozi od niego niebezpieczeństwo. W wyjątkowych razach kary te będą krótsze, niż ściśle ograniczone kary dzisiejsze, lecz w większości wypadków przeciągać się będą bardzo długo, choćby do śmierci przestępcy. Zaprzeczyć się nie da, że przepis taki jest niezmiernie surowy. Młoda szkoła odpowiada na to argumentem, że przecież nikt chyba żądać nie będzie, aby dzikie zwierzęta wypuszczać z klatek. Interes ogółu w pierwszym stoi rzędzie, jemu poświęcić trzeba interes jednostki.

O ile nowy kierunek surowe stosuje kary do przestępców z nałogu, o tyle łagodnie każe się obchodzić z przestępcami „z okazyi“ t. j. z takim, których tylko nadarzona sposobność popchnęła do przestępstwa. Ludzie tacy mogą być moralnie zdrowymi; dla nich popełnienie przestępstwa jest tylko nieszczęśliwym wypadkiem. Nie trzeba więc ich karać tak samo, jak przestępców moralnie zepsutych, tem bardziej, że zamknięcie przestępcy z okazyi, razem z przestępcą nałogowym kryje wielkie w sobie niebezpieczeństwo. Nie bez słuszności nazwał ktoś domy karne „wszechnicami przestępstwa“. Niejeden przestępca dopiero przez obcowanie z „kolegami“ nałogowymi wśród murów więziennych staje się równie, jak oni, osobnikiem nawskroś zbrodniczym.

Obok obszerniejszego, niż dotąd stosowania kar pieniężnych i bardzo krótkich kar więziennych (zawsze w celach odosobnionych) zaleca się przeciw przestępcom z okazyi, — to stanowi drugi ważny postulat młodej szkoły, — „wyroki warunkowe“. Polegają one na tem, że sąd skazać może w pewnych wypadkach przestępcę z okazyi na karę więzienną, lecz dodać do wyroku przepis, że przestępca nie będzie potrzebował jej odsiedzieć, jeżeli w przeciągu pewnego czasu (czas ten obejmować będzie naturalnie długi szereg lat) nie dopuści się żadnego czynu w znaczeniu kryminalnem karygodnego. Reforma szwajcarska „wyroki warunkone“ stosuje tylko wtenczas, jeżeli:

przestępca po raz pierwszy wykroczył przeciw kodeksowi karnemu,
jeżeli przestępstwa nie popełnił z pospolitych pobudek,
jeżeli odszkodował pokrzywdzonego, o ile to leżało w jego mocy,
jeżeli kara zagrożona kodeksem nie przewyższa 6 miesięcy,
jeżeli przypuścić można, że przestępca przez opuszczenie mu kary ochronionym będzie od dalszych przestępstw.

Płacenie kar pieniężnych, które zastąpić powinny w wielkiej części krótkie, kilkodniowe i kilkotygodniowe kary więzienne, ludziom niezamożnym ułatwić trzeba przez rozłożenie ogólnej sumy na większe lub mniejsze raty. Zupełnie biedni zamiast pieniędzmi mogą także płacić robotą.

Trzeci postulat młodej szkoły zmierza do stósowniejszego obchodzenia się z przestępcami młodocianymi. Zamykanie przestępców młodocianych w jednem więzieniu ze starymi, wytrawnymi złoczyńcami, którzy na siebie przyjmują role nauczycieli i mentorów wobec „młodego pokolenia,“ po prostu o pomstę woła do nieba. W wymierzaniu kary przeciw przestępcom młodocianym sędziemu pozostawić trzeba jak największą, o ile możności, swobodę. Często wystarczy nastraszenie, często kara cielesna. Zgodnie z uchwałą kongresu petersburgskiego żąda Liszt i jego zwolennicy, aby przestępców aż do 18go roku życia uważać za młodocianych. W zasadzie karę więzienną zastąpić powinno wychowanie przymusowe, którego nie uważa się za karę publiczną, by w przyszłości nie utrudniać młodocianemu przestępcy uczciwego życia. Wychowanie przymusowe odbywać się powinno, o ile możności, wśród rodzin uczciwych. Zaleca się wszakże w każdym razie urządzenie osobnych zakładów wychowawczych, do których sędzia na przymusowe wychowanie posyłać mógłby młodych delinkwentów. Jako wzór dla takich zakładów służyćby mogły zaprowadzone w Anglii „Reformatory schools.“ Czas wychowania przymusowego powinien być nieograniczony i zastósowany do zachowania się młodego przestępcy w domu wychowawczym i do jego charakteru. W przedłużeniu czasu wychowania przymusowego niema nic niesprawiedliwego, gdyż wychowanie takie dla zaniedbanego pod względem moralnym dziecka, czy młodzieńca, nie jest karą, lecz dobrodziejstwem. W zakładach wychowawczych angielskich, wspomnianych wyżej „Reformatory schools“, uczą się dzieci przedewszystkiem rzemiosł. W Paryżu istnieje nadto zwyczaj, — który „Zjednoczenie“ zaleca wszystkim państwom cywilizowanym, — że przed wydaniem wyroku przeciw występcy młodocianemu sędziowie zapraszają jednego z przedstawicieli „Société protectrice de l'enfance“ (stowarzyszenie opieki nad dziećmi) i z nim naradzają się co do najstósowniejszej w danym wypadku procedury wychowawczej. Bez wątpienia zasięgnięcie rady od osób prywatnych, kierujących się jedynie czystemi pobudkami humanitarnemi, lepsze wydać może owoce, niż najdoskonalsza rutyna urzędnicza. Wychowanie przymusowe wedle postulatów „Zjednoczenia“ powinno być *zwykłą* formą „kary“ przeciw przestępcom młodocianym, co jednakże nie pociąga za sobą bezwarunkowego zniesienia kary więziennej. Przeciwnie w *razach wyjątkowych* i tutaj bez kary więziennej nie będzie się można obyć. Zdarzają się wypadki, że chłopcy szesnastoletni z zadziwiającą chytrością popełniają ciężkie zbrodnie. Chłopak małoletni zabija np. swą panią, u której służy, i zrabowane pieniądze wydaje na rozpustę. Czy i takiego zbrodniarza, dla tego tylko, że niema jeszcze lat 18tu, posłać należy tak samo do domu wychowawczego, jak dzieci, które przyłapane zostały na publicznem proszeniu o jałmużnę, albo na kradzieży, do której popchnęła je nędza, lub zmuszali rodzice? Oczywiście, — że nie. Dlatego też słusznie żąda nowy kierunek, aby we wszystkich tych wypadkach pozostawić sędziemu, lub ustanowionej ad hoc komisyi wychowawczej zupełną swobodę decyzyi.

Czwartym punktem zamierzonej reformy prawa karnego jest większe, niż dotychczas, uwzględnienie odszkodowania pokrzywdzonego ze strony przestępcy. Dotychczasowe prawo, które ścigało tylko przestępstwo, nie zaś przestępcę,

*) A propos: co do pojęcia „niepoprawności“ nie wszyscy się zgadzają. Francuzki pewien autor twierdzi, że aż do śmierci nikogo nazwać nie można „niepoprawnym“. Członkowie „Zjednoczenia“ nazywają niepoprawnym tego, który k i l k a k r o t n i e jedno i to samo popełnia przestępstwo. Lecz ile razy: 3, 4, 5 czy więcej? Co do tego różnią się zdania, jako co do innych oznak „niepoprawności“.

---

chrapać. Otrzeźwiła mię wymowna sentencyja Cynamona:

— W twoje ręce, Zych! Za zdrowie Maniusi...

— Za zdrowie Maniusi! — powtórzyłem ochoczo, nie zbyt będąc pewnym o jakiej to Maniusi mowa.

— Zobaczysz, że ja ją przekonam! — twierdził burżua.

— Pewnie, że powinieneś ją przekonać...

— Stary Kłucki — to mądry człowiek, ani słowa, na swojem miejscu, ma poważanie u władzy, trzęsie całym powiatem i licho wie dokąd zajść jeszcze może, ale czasami gada takie rzeczy, że aż uszy bolą. Ja tam nie mogę się z nim spierać, bo nie potrafię... Na nieszczęście i z nią nie mogę zacząć rozmowy o tych rzeczach. Ot — ty, bracie, dopiero potrafiłbyś ją przekonać...

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

— Skończyłeś gimnazyum, — mówił dalej, unosząc się, — i wiesz doskonale, kiedy stary łże. Jakeśmy byli na herbacie przyszedł mi do głowy projekt, żebyś ty jej dawał lekcyje...

— Jakie lekcyje?

— No... czy ja wiem? Polskiego, czy tam historyi. Mógłbyś na nią wpływać...

— Ale, mój kochany, z takich wpływań mogłyby być fatalne skutki. Masz mię za starego kamedułę, czy jak? Zbałamucę ci narzeczoną...

— Nie! ty jesteś porządny, stary kolega, nie zrobiłbyś tego. Z oczu ci patrzy...

— Skąd ty tam możesz wiedzieć, co mnie z oczu patrzy! Przecie ta panna Maryja musiała chodzić na jakieś pensyje.

— Chodziła do gimnazyjum w Siedlcach i była w Maryjskim instytucie, ale bardzo krótko. Gdybyś ty ją był widział wtedy, jak była w czwartej klasie!...

— Nic by mi z tego nie przyszło, choćbym był i widział ją wtedy, jak była w czwartej klasie. Co do lekcyj, — to gotów jestem przystać, jeżeli mi określisz wyraźnie, co mam wykładać.

Historyi polskiej ja wcale nie umiem. Z literatury — umiem na pamięć kilka romantycznych wierszy i znam kilka bezbarwnych powieści. To znaczy, że pod tym względem jestem akurat taki mądry, jak panna Maryja. Zresztą, jeżeli mam ci wyznać prawdę, są to zamiary bezpłodne. Tak zwana historyja polska jest zbiorem faktów, spisem rozmaitych hetmanów, królów, księży, poetów, podanym w sosie miłości ojczyzny. Chcesz, aby panna Maryja wyuczyła się tego wszystkiego na pamięć? Po co? Na co?

— E — drwisz ze mnie i nie mówisz tego, co myślisz!.. zawołał Cynamon.

— Żal mi cię, mój stary, jeżeli to wszystko rzeczywiście bierzesz do serca. Mnie się wydaje, że panny Maryi nie można przerobić za pomocą biografij królów i poetów...

Zych! ty prawdę mówisz, czy żartujesz?

Napadła mię ta drapieżność uczuć, dzięki której gadam nieraz więcej, niżby należało, więcej niżbym sobie tego na trzeźwo życzył. Począłem Rogowiczowi wykładać wszystko od *a* do *z*. Dowodziłem z rzeczywistą logiką, która nawiedza nas czasami w rozmowie, jak natchnienie, ze szczególną intuicyją wybierałem takie argumenty, które musiały trafiać do jego przekonania, zdawałem sobie bardzo wyraźnie sprawę ze skali jego umysłu i gadałem lapidarnie.

Obadwaj pociągaliśmy co chwila z butelki i wyznać muszę, wino znakomicie mi pomagało w tej improwizacyi. Rogowicz słuchał, podparłszy brodę pięściami. Po jego obliczu o kolorze indycznego jaja przelatywały najrozmaitsze uczucia. Gdy dźwignął się z krzesła i począł defilować po izbie, naśladowałem go mimowoli i *furt* dowodziłem. Ogarek świecy dopalał się w mosiężnym lichtarzu dużym, ruchliwym płomieniem. Spostrzegłszy cienie naszych postaci, wlóczące się po ścianach, otamowałem się nareszcie.

W jakim właściwie celu ekspensuję tak szczodrze skarby mojego umysłu; po co usiłuję sprowadzić z drogi mieszczańskiej cnoty młode pachołę, przy którem ja, *hoplites* przecie, wyglądam, jak, Panie odpuść, cielę przy krowie; czyliż można nawrócić burżuja? Z tych trzech

mało istotnie dba o to, aby n. p. złodziej, który okradł swego bliźniego, przedewszystkiem oddał poszkodowanemu pieniądze. Przeciwnie przez kary więzienne, a mianowicie także przez wysokie kary pieniężne rujnuje się materyalnie przestępcę, i odbiera mu się, choćby nawet najlepsze miał chęci, możność odszkodowania pokrzywdzonego. Że tu „coś niedobrze“ dzieje się w prawie karnem, każdemu mówi zdrowy rozsądek. Nowy kierunek żąda dlatego, aby ograniczono obowiązek prokuratoryi ścigania wszystkich prawie przestępstw. Reforma ta od dawna już zaprowadzona jest w Anglii. Tam prokurator, — wyjąwszy ciężkie przestępstwa, tylko na wniosek pokrzywdzonego wnosi skargę. Tem samem przestępcy i pokrzywdzonemu daje się sposobność do pokojowego załatwienia sprawy ku wzajemnemu zadowolnieniu.

System kar pieniężnych także zreformować zamierza nowy kierunek. Uwzględnia on przytem nierówność ekonomiczną, istniejącą w rzeczywistości, do której dostósować też trzeba pewnego rodzaju nierówność indywidnów wobec prawa. Przykład od razu kwestyę tę wyjaśni. Jeżeli sąd bogatego, dajmy na to bankiera, za pewne przestępstwo, n. p. za obrazę czynną, skaże na 100 marek kary, i za to samo przestępstwo biednego, dajmy na to, nauczyciela ludowego na taż samą karę, to postąpił niesprawiedliwie. Bo dla bankiera, którego dochód roczny wynosi może 50,000 mr., zapłacenie stu mr., jest drobnostką: dla nauczyciela zaś, którego dochód roczny wynosi 1000 marek, dotkliwym ciosem ekonomicznym. Żąda więc nowa szkoła, aby w kodeksie karnym kryminalnych kar pieniężnych nie oznaczano w pewnych, określonych kwotach (10, 20, 30 itd. marek) lecz w odsetkach od majątku, względnie dochodu przestępcy (1, 2, 3 itd. procent.) Natenczas za przestępstwo, za które w naszym przykładzie nauczyciel skarany zostanie na 100 m. grzywien, bankier zapłaci 5 tysięcy marek.

To są główne postulaty praktyczne Liszta i jego zwolenników.

Nawet przeciwnicy młodej szkoły przyznają, że wobec dawnego prawa nowy kierunek „pod wielu względami“ ogromny stanowi postęp w uwzględnieniu rzeczywistych stósunków życiowych.

Nowy kierunek zwycięży, bo wszystko, co stare co zużyte, ustąpić musi temu, co młode, co życia pełne.

Paweł Styczyński.

LITERATURA I SZTUKA.

Londyński salon.

Jak starożytni Rzymianie Anglicy lubują się w świetnych widowiskach. Daje im też corocznie sposobność do gapienia się nowy lord-major, czyli burmistrz, wystawiając na widok publiczny siebie i gronostajowy płaszcz ze złotym łańcuchem symbolicznym — na takim to bowiem pasku prowadzda Mamona obywateli kupieckiej dzielnicy City — w czerwonej jak maki karocy, oczywiście suto świecidłami lamowanej wraz z średniowieczną pompą i ogromnym pochodem, przypominającym wejście do miasta amerykańskiego cyrku. Znając słabą stronę Londyńczyków pokazywał się w parę godzin po ślubie książę Yorku z żoną, bo zabawnie wyglądają ludzkie okazy w tak słabych życia chwilach. Wystawia się dalej na uroczyste oględziny babka jego — królowa, aby wierni poddani mogli sprawdzić, że babinka żyje i tyje. Nie zapomina nikt, że żyjemy w wieku reklamy i kto może, robi z siebie — spektakl. Nawet w życiu codziennem John Bull nie dość, że nosi cylinder, ubiera się dobrze i — funduje napitek znajomym, co jest znamieniem dżentelmana, ale aby okazać się „prawdziwym“ dżentelmanem, ubiera się we frak do obiadu, chociaż niema gości, żona w suknię balową i — gapią się wzajemnie na siebie i srebrne półmiski, których widok krasi nieraz skromny roastbeef i oklepany pudding. Niemniej zabawa na at home'ach polega na spektaklu, teatrów i sztuk powodzenie zawisło od wystawy, no i dedukując z nieubłaganą logiką — wystawy obrazów są wystawą, vulgo widowiskiem. Da się to powiedzieć z całą pewnością o dorocznych wystawach kr. Akademii sztuk pięknych. We Francyi mówią: cherchez la femme, a że w Anglii znajdują się niewiasty same gdy się tylko idzie w ich las, mówimy: cherchez l'argent. Aby ludziskom wyciągać szylingi z kieszeni i zdobyć poklask galeryii, „komitetu wieszającego“ busolą przy asortowaniu dzieł sztuki, jest usiłowanie zrobienia salonu jak najpokaźniejszym, najciekawszym dla wszystkich.

Wnioskować by można z rozwiniętej walce zmysłu wzroku i skwapliwości poddawania się rozkoszy patrzenia, że Brytowie muszą być narodem niezmiernie wrażliwym na piękno plastyczne. Tymczasem nie. Jakkolwiek malujących można liczyć na dziesiątki tysięcy, a skala poczucia piękna podniosła się znacznie, biorąc ogólnie naród ten pieniędzy, rozsądku i prostoduszności, ugania się tylko za zaspokojeniem naiwnego przyrodzonego pociągu do zewnętrznej okazałości i ozdobności, ale broń Boże, aby miał pracować nerwami i wysilać umysł dla wydobycia głębszych wrażeń. Przeciętny człowiek — bądźmy względni — nie ma na to ani czasu, ani atłasu. Lecz jestże tak tylko w Anglii?

Refleksye te wynurzyły się z wnętrzności mej duszy, gdym przechadzał się po pustych salonikach rzeźby w Burlingtońskim pałacu. Przenosząc sztuczki nad sztukę, a obrazki nad obrazy nie rozmiłowali się dotąd Anglicy w niewpadającej w oczy barwami rzeźbie. Tak jak Polacy nie dorośli jeszcze do sztuki rozporządzającej tylko kształtem. Zastrzegam się tu przed mniemaniem, jakobym sztukę polska i angielską stawiał na jednym szczeblu. Wskażę tylko na jednę olbrzymią różnicę zachodzącą pomiędzy tym kwiatem umysłowości dwóch ras. W Polsce jest on produktem cieplarni, egzotycznym, w Anglii zaś wyrosłym na otwartem polu, na gruncie odpowiednio przygotowanym i jako taki daje prawdziwe pojęcie o naturze i wartości gleby.

Nie wiele dostrzegłem rzeźb godnych wzmianki, a i tym przypatrzeć się dokładnie nie pozwolił mi wzgląd na — czułą parę, która usiadła w zaciszu pomiędzy Wenerą a Satyrem (o ironio!) Biorąc przykład z bronzowego Gladstone'a, który delikatnie odwracał twarz od nich i nie chcąc przerywać — żywej rozmowy o rozwoju rzeźby, wyniosłem się — do obrazów, wspomnień unosząc nie wiele.

Pomnik Gladstone'a wydaje się na rycinie dość pięknie, w rzeczywistości zaś jest trywialny i nie przysparza chwały p. Onslow Ford. Gdyby się nie wiedziało kogo przedstawia statua, powiedziałbyś sobie: po co też ten stary facet tu stoi obok tej białej, nieubranej Safony, misternie modelowanej przez Fryderyka Seeboeck'a. Najpiękniejszem dziełem jest Henryka Fehr'a Perseusz oswabadzający Audromedę, grupa nietylko imponująca rozmiarami, ale prześliczną kompozycyą, harmonią, fantazyą i wykończeniem. Można by chyba jej zarzucić, że trudno jej się przyjrzeć, bo dopiero trzeba podglądać twarze interesujących postaci.

W salach obrazów — tłumy.

filozoficznych zapytań wyrosło dziwnym zbiegiem wyobrażeń czwarte, skierowane wprost do Rogowicza:

— Ty często bywasz w Warszawie?

— Dwa, czasami trzy razy na miesiąc.

— Czy nie chciałbyś przywozić mi książek i listów od kolegów?

— Owszem, ale... uważasz... Nie będzie tam czego?..

— W książkach nie będzie nic. W listach... no... może. Przystał po chwili namysłu. Dałem mu twój adres. Następny list wyślę już przez niego. Przysełaj mi „kursa“ Michała z rachunkiem różniczkowym i wykreślną. A co, — czy nie znakomity zrobiłem wynalazek, odkrywając Rogowicza?..

Upadam do nóg!

Maurycy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LAMPIARZ MIOTEŁKO.*)

Pan Klemens Rejanek musiał użyć całego zasobu siły, nim mu się udało otworzyć spaczone drzwi nędznego sklepiku. — Dzwonek przymocowany u góry, zadźwięczał z szalonym hałasem, jak gdyby zwiastował przybytkowi lampiarza rzadkie święto.

Za stołem sklepowym, który równocześnie służył panu Antoniemu Miotełce jako warsztat ślusarski, siedział szpakowaty już z okularami na czubku nosa i w zielonym fartuchu, sam pan właściciel zakładu. — Miał wzrok bardzo krótki, bo za wejściem pana Klemensa przypatrywał mu się bacznie z poza nasuniętych już wyżej okularów, poprawiając je ręką prawą, na której rękaw ciemno-niebieskiej bluzy zawinięty był poza łokieć, odchylając niebieskie żyły, jak postronki silne. Na przywitanie niepewno jakoś, czy nieśmiało podnosił się ze stołka, na którym siedział, — w lewym ręku trzymał jeszcze żelastwo jakieś, nad którem przedtem pracował.

*) Obrazek powyższy jest jednym z pierwszych utworów początkującego pisarza. Zamieszczamy go nie jako dzieło dojrzałego artyzmu, lecz jako utwór obiecującego talentu. (Przyp. Red.)

Dopiero gdy pan Klemens zamknął drzwi za sobą i przybliżył się nieco, poznał gospodarz przybyłego, bo poruszył się energiczniej, i wyprostowany stanął za stołem, ocierając rękę zasmoloną o fartuch zielony i czekając pierwszego słowa ze strony gościa.

Pan Rejanek tymczasem zatrzymał się o kilka kroków od niego i rozstawiwszy nogi, a ręce oparłszy na gałce laski, począł kiwać głową z wyrazem politowania czy współczucia. Nie otworzył jeszcze ust, tylko wąsy jego długie, czarne, wpadające nieco w rudawy kolor, poruszały się, jakby prawić chciały panu Antoniemu „pater noster“ długi.

— Ot, ot. ot — na co nam przyszło, — wymówił w końcu pan Klemens, wzdychając żałośnie i kiwając głową za każdym wyrazem.

— No cóż — odparł drugi lakonicznie, podając rękę muskularną na powitanie, — masz tam kanapę, usiądź, ja też mam pilną robotę.

Wskazał gościowi głęboką, szarą kanapę, stojącą przy ścianie, sam usiadł na stołku swoim, i wziąwszy w lewą rękę zepsuty aparat lampy, w drugą młoteczek delikatny, począł pobijać i klepać żelastwo, trzymając je sobie na kolanach.

Tak to, tak, tak, Miotełko — zaczął pan Klemens, zasiadłszy na sofie staroświeckiej — czyby kto był domyślał się tego?

A młoteczek w ręku pana Antoniego, wtórował mu monotonnym klekotem.

Próżno szukalibyśmy w katalogu imion dwóch najsławniejszych malarzy angielskich: Whistler'a i Sir E. Burne-Jones'a, których sławie nie czyni ujmy okoliczność, że nie figurują w fatydycznej liczbie czterdziestu akademików. Pierwszy godny piastun laurów genialnego Turner'a, którego nazwałbym pierwszym impresyonistą, przeniósł swe penaty nad Sekwanę. Czyliż uważa, że w Londynie brak sztuce — posługując się wyrażeniem Taine'a — temperatury moralnej? Zapewne nie. W Londynie jest wszystko.

Po prostu, obraził się na akademią, że nie zmieniła statutów osobno dla niego i nie wniosła jako członka — od razu do przybytku sztuki. To dostateczny powód do urazy — dla malarza. Sławny pre-rafaelita Burne-Jones był poniekąd usprawiedliwionym wziąść sobie do serca, że trzymano go lata całe na podrzędnem stanowisku Associate of the Royal Academy, podczas, gdy świat cały stawiał go na niebotyczny piedestał znosząc w darze wawrzyny i złoto, i kadząc hymnami pochwalnemi.

Gdyby mi pod karą śmierci kazano odpowiedzieć na stereotypowe zapytanie, który obraz mi się najwięcej podobał, odparłbym bez długiego wahania: *Powrót z pastwiska* p. Ansten Brown'a. Młoda dziewczyna prowadzi trzy czy cztery krowy drogą w cieniu wysokich zielonych drzew, doskonałych w kolorze zastósowanym do niebiesko-zielonkowatego sklepienia. Krowy giną prawie w cieniu, lecz białe łaty na grzbiecie przodem idącej, udzielają światła ciemnej części obrazu. Jak prawdziwie unormowaną jest doniosłość świetlana tych łat! Krowy poruszają się, żyją w atmosferze, którą odczuwamy, koloryt jest ciemny, głęboki i harmonijny rysunek.

Rozkład światła silny, wyrazisty i wpływ jego na barwy lokalne niezrównany. Żyje ten świat w ramach. Uderza, przykuwa oko, podbija i zachwyca prawdą. Ileż sztuka wydobyć umie tonów z prostego tematu! Widząc to w rzeczywistości nie zwrócilibyśmy może i nań wcale uwagi, talent dopiero przekonywa nas, że piękno jest wszędzie w naturze. Tylko go się dopatrzeć potrzeba. Słowem jest to — obraz.

Z akademików panowie Orchardson i Watts prezentują się najlepiej, nawet znakomicie. *Portret* białej damy pierwszego z nich, jest zdumiewający siłą i pięknością rysunku. Jest to zaleta, zwłaszcza, że p. Orchardson nie ekspensował się na farby, lecz przeważnie wysilił na rysunek. Portret jego jest raczej koloryzowanym rysunkiem, oryginalnym, wyrazistym, żywym. Pan Watts staruszek siedmdziesięcioletni włada jeszcze pendzlem do pozazdroszczenia.

Wyszedł na spacer Faryzeusz odziany w bogatą szatę, grube palce czerwonej łapy ustroiwszy w drogocenne pierścienie, aby lud podziwiał i zazdrościł fortuny. Lecz czemu zwiesił głowę, kryjąc ją niemal w fałdach sukni na piersi? Nie widać prawie wcale twarzy, a jednak domyślamy się, że pogrążonego w medytacyach Faryzeusza, tłoczą troski i niepokoje. Czemu? Katalog odpowiada; „*bo miał wielkie posiadłości*". Wrażenie tego obrazu jest nad wyraz potężne. Widzimy ruch jego, twarzy, odgadujemy myśli i — nie łakniemy wielkich posiadłości.

Mów o znanych nam malarzach! — powie może czytelnik, który nie słyszał o tych koryfeuszach malarstwa angielskiego. O kim mam mówić? O Almie Tademie? O Bongueran? O Hubercie Herkomerze? Znany, fryzyk zmanierował się i skarłowaciał. Jest to zawsze dawny Tadema, a więc wypieszczony, wychuchany, wykończony, papinkowaty malarz buduarowy z wielkiem poczuciem barwy, rysunkiem, perspektywą wyborną, marmurami skradzionemi prawie w Cararze! Ale nie — Alma. Duszy w nim nigdy nie było za wiele. Natomiast był i jest zmysł kupiecki.

Mimo, że gusta się zmieniły, sprzedaje się jeszcze dobrze. Bougnerau? Gdybym nie wyniósł o nim nieco pochlebniejszego wyobrażenia z paryskiej galeryi Luksemburskiej, nie byłbym przystanął nawet przed jego bombonierkowym Amorkiem. Mógłem był sobie oszczędzić tej fatygi, bo mnie wyszturchały łokciami mnogie damy, którym z przeznaczenia, no i zapewne z powołania tu przypadło najlepsze miejsce. Place aux dames! Poszedłem i wiem tylko, — że jeżeli kto w Polsce myśli, że angielki nie umieją się gustownie i dobrze ubierać, jest w grubym błędzie. Kursuje zresztą u was fałszów o Anglii zbyt wiele, abym pomiędzy jabłkiem a serem . . . — pomiędzy Bougerau a Herkomerem miał się z nimi rozprawiać. Przed ideałem piękności Niemca, Huberta Herkomera, którego można uważać za jednego z najlepszych przedstawicieli Akademii, zauważyłem znowu tłok mężczyzn. Na polance leśnej stoi kobieta wsparta o zwieszającą się gałąź drzewa. Bujna fala złotych włosów spływa potokiem na śnieżne ramiona. Strój wszystek zostawiła w domu — bo gorąco. Czerwone tło wnętrza lasu, przypomina krajobraz Fryd. Walker'a. To nazywa się: Wszystko pięknem w nagiej czystości. Prawda, kobieta ta jest czystą, nawet za czystą, za białą. Piękną jest także niewątpliwie, chociaż *p. Kennigton* znany malarz tutajszy, gwałtem we mnie wmawiał, że ma za chude łydki, co nie zgadza się z pojęciem greckiej piękności.

Inny malarz, który nie maluje „the nude" zgadzał się ze mną znowu i uważał kobietę tę za grecką piękność godną Wenery z Milo. Płótno to uchodzi za jedno z najwybitniejszych dzieł w tegorocznym salonie. Chociaż temu mocno przeczę, przyznaję, że — znakomity Herkomer nie może wymalować nic, co by nie przechodziło powszedniości.

Odwróciwszy się, chciałem wołać policyanta i biedz na ratunek, bo myślałem, że zaszedł jaki wypadek i naród się podusił przed — wystraszoną nymfą, którą wyłowili na pełnem morzu rybacy. Nie próbowałem mych muszkułów i łokci, aby się docisnąć, bo przekonałem się wnet, że to płótno dla galeryi. Dla wywołania taniego efektu, pan Draper posługuje się krzyczącym repoussoirem, który przypominał mi Cavalleria Rusticana.

O szlacheckim prezydencie z szlachetną głową Sir Fryderyku Leighton'ie, nie wspominam, bo w tym roku teatralność jego płodów działa mi na nerwy.

Niewielu malarzy umie patrzeć po malarsku. Do tych należy p. T. B. Kennington; szkoda tylko, że studya u Bouguerau niekoniecznie dobrze wpłynęły na jego indywidualność. Portrety jego są ogromnie szablonowe i profesorskie, ale jego „Rozczarowani" wielce zajmujący, chociaż robią raczej wrażenie portretów jak sceny z życia. Zdarza się to portrecistom, nieraz, że jeżeli podejmą tworzyć sceny, osoby ich pachną zawsze portretem. Na sofie siedzi młoda blondyna w balowej sukni targając chusteczkę z widocznem w oczach bólem i zawodem. Zapewne wydała się jaka sprawka małżonka, który tyłem zwrócony, wsparty o poręcz, spogląda ku niej z wewnętrznem niezadowoleniem. Ramiona, ręce, malowane doskonale, fałdy sukni, pod którą jest istotnie ciało, układają się dobrze. Pół ton świateł salonowych jest uchwycony świetnie i przepełnia atmosferę obrazu. Rysunek wykonany pewną i dokładną ręką.

Krytycy zauważyli Stimmungsbild Sigismund'a Goetze'go, Jest to rzecz wielce patetyczna. Na rusztowaniu zsiniałe ciało *św. Sebastyana*. Jedna kobieta podtrzymuje go, druga u nóg płacze. Ostatnie promienie zasmuconego słońca padają na tę grupę, fiołotowemi plamami znacząc zagłębienia zielonkowatego ciała i żegnają w szatę nocną oblekające się lasy i strumień, po których czołgają się mgliste wód wyziewy. Skutkiem przestrzeni pomiędzy wyniosłem rusztowaniem, a smętnym krajobrazem, który u nóg świętego się ściele, zda się, że natura bolejąca nad stratą, ostatni hołd oddaje zmarłemu, który z wyrazem błogiej rezy-

---

— Tak, tak, panie Miotełko, tak, tak, tak.

Pan Rejanek, nakiwawszy się dostatecznie głową, ułożył z namaszczeniem czapkę z rydelkiem obok siebie na kanapie i zaczął po chwili z innej beczki:

— Nawarzyliście sobie piwa, oj nawarzyliście — a teraz trzeba je pić.

— To i cóż — wypiło się tyle.

— Ale nie takiego, Bogu dzięki nie takiego, — wszystko dobrze, dopóki małżeństwo w zgodzie, ale jak żona od męża ucieka, — Panie Boże, nie skarż — ale gdyby mnie się coś podobnego zdarzyło, to — chyba bym się zadławił własnemi rękoma.

Młoteczek pana Antoniego zawarczał głośniej. — cała postać pana Miotełki pochyliła się naprzód.

Nie zadławi się on, — to prawda, — ale czy serce biedne w piersi nie zadławi się żalem gorzkim, któż wie?

— Ja tam temu nie wienien, — wymówił Miotełko w końcu; ale taka to już jego natura, że ze serca na usta nic wydobyć się nie może, — więc urwał.

— Ożeniłeś się w czterdziestym roku życia z moją siostrą, a Zośka nie miała wtedy więcej nad lat ośmnaście; nie nadawaliście się więc bardzo do siebie, — ale czy mało małżeństw takich żyje szczęśliwie? Tylko — tu westchnął pan Klemens i pokiwał znowu głową. — Młoteczek w ręku pana Miotełki klekotał ciągle monotonne swoje:

— Tak, tak, panie Miotełko, tak, tak, tak.

Tak samo klekotał przed dziesięciu laty, gdy do pokoju tego weszła złotowłosa Zośka. Cały dzień rozbrzmiewał głos jej srebrzysty w biednym sklepiku, — a co chwilę przybiegała do pochylonego nad pracą swą Miotełki i całowała go w głowę, to w czoło, albo trzymając ręce ubrudzone w kuchni za sobą, przechylała główkę ciekawie i zaglądała mu w oczy jak ptaszyna mała.

— Tak, tak, panie Miotełko, tak, tak, tak.

Brzmiało coś w tym klekocie na sposób skargi: gdzie się podziało to wszystko, to szczęście?

Tak zdawało się przynajmniej panu Antoniemu. Wlepiwszy wzrok w robotę swoją, siedział niby to spokojnie, a choć zabij, nie poznałbyś nic z jego twarzy, chociaż w duszy, — co w tej biednej duszy się działo?

— Zośka to takie wesołe, serdeczne stworzenie, jak kwiatek wychowany na słońcu, co bez ciepła i słońca marnieje. A ty, Miotełko, ty taki teraz jesteś dziwny, u ciebie nie ma ciepła ni słońca, więc marniało biedactwo, marniało, aż w końcu sprzykrzyło jej się życie takie — i poszła w świat, uciekła od ciebie, biedactwo.

U niego niema ciepła ni słońca!

Miał on wesele w duszy kiedyś, miał serce gorące, które przemówić umiało słowem i spojrzeniem. Rok jeden i drugi przeżyli z Zośką szczęśliwie. Bóg dał im córkę, błogosławiąc miłości tak wielkiej, a do dziecka tego przywiązał się biedny sercem i duszą. A potem słońce gasło powoli. Umarło dziecię, — roboty było coraz mniej, jeden i drugi czeladnik opuścił warsztat Miotełki i został nad nim pochylony sam tylko właściciel.

Lampiarz zapomniał o uśmiechu, nie umiał przemówić słowem gorętszem i chociaż serce czuło, żaden promień jego nie przebił twardej skorupy; poważnym był ciągle i zimnym jak bryła lodu. Nie mógł przeboleć straty córeczki, do której się całą duszą przywiązał, i lubo żona powiła mu syna, on nie zapomniał o umarłem dziecku.

Odtąd był innym jak dawniej, a Zośka nie umiała go rozweselić, nie umiała zdjąć z jego duszy tych więzów pozornej obojętności.

Pamiętą, nieraz pieściło go biedactwo i tuliło się do piersi jego szerokiej, — i poddawało usta pod usta jego, a on nie umiał rozchylić ust do pocałunku, — byłby się rwał w kawały, no, nie mógł. Serce biło jak młotem i krzyczało na niego: Głupcze, przyciśnij ją do siebie, — pocałuj. — Cóż, kiedy usta i ręce, — to nie serce, a słuchać nie umiały, czy nie chciały głosu serdecznego.

Stało mu to tak żywo w pamięci, jak gdyby wczoraj się działo. — Zdało mu się, że kle-

gnacyi i duchowego zadowolnienia opuścił ten padół płaczu. — Pieśń Fiametty przez Edwina Abbey nazywa pewien krytyk najlepszym tegorocznym obrazem. W istocie niepodobna nie zauważyć go w tej sali. Można go bardzo lubić, albo bardzo znaleść niesmacznym — ale bądź co bądź nie zawyrokuje się o nim bez pewnej dyskusyi i argumentacyi z samym sobą.

Rafaela Jones'a „ulica wiejska“ jest przepełnioną różową i niebieską atmosferą zachodu słońca. Artysta odczuwał chwilę i chociaż niezdołał oddać całej sensacyi, płótno jego wyróżnia się znakomicie pomiędzy kilku miernemi krajobrazami otaczającemi je. Z pejsarzystów wymieniam tylko jesze P. Graham'a. Jego grupa nadmorskich kamieni pokrytych ślizgiemi, przegniłemi mchami, mewy, niebo, po którem przeszła nawałnica i dżdżysta atmosfera żywym są odblaskiem wybrzeża.

Z Polaków wystawił jedynie zamieszkały tu J. V. Chełmiński dwa obrazki ukraińskie: Eskorta generała i Pochwycony kozak, dwie z lepszych prac swoich.

W salonie akwarel uderzył mnie *Wypoczynek w południe* przez E. E. Nicol'a. Kilku liniami i dwiema barwami czarną i żółtą przedstawił nam artysta piaski afrykańskie, i wyschłe drzewo, w którego wątpliwem cieniu spoczywa wielbłąd i podróżny. Żółtość monotonna krajobrazu i gorące słońce oślepia nas, step, wielbłąd i człowiek zlewają się niemal w jedno, widzimy ich, jakoby przez siatkę pyłu. Wtem leży wdzięk tego bezpretensyonalnego, a wybornego obrazu. Akwarela jest to forsa angielskiej sztuki. Nie znalazłem tu jednak prócz wyżej wzmiankowanej nic interesującego. Dział akwafortów za to bogaty.

Wyszedłem z głową przeładowaną obrazami malowanemi i żywemi, a gdym spojrzał na świat — chociaż nam się przedstawia wspaniale i bogato na ulicy Piccadilly — obiecałem sobie wnet powrócić do królewsko-filisterskiej Akademii. *Nobody.*

KLASOWOŚĆ W „EMANCYPANTKACH“.

(List do J. U., kolegi z Paryża.)

„Jesteście dla mnie tem, czem dla chemika odczynniki chemiczne, a dla fizyka: termometr, galwanometr...“

(Dębicki do Brzeskich, t. IV, str. 311.)

. . . . . Ostatnia powieść *Prusa*, jedna z niewielu między współczesnemi, świadomie osnutych na tle ważnego zjawiska społecznego, ogromnie zainteresowała publiczność i krytykę — i po Chmielowskim, Krzywickim, Bartoszewiczu, Chrzanowskim i w. i. niewiele miałbym Ci o niej do powiedzenia, gdyby nie pamięć długich godzin, któreśmy spędzali na rozprawach o materyaliźmie ekonomicznym, — teoryi, mającej u nas zbyt jednostronnych zwolenników i zbyt fanatycznych wrogów i na odnajdywaniu różnych niespodzianych związków między jakiemś zjawiskiem filozoficznem lub estetycznem, a klasowem podścieliskiem głów, w których się ono wylęgło. Gdybym chciał, mógłbym w naszej belletrystyce czerpać pełną ręką podobne odkrycia, że wspomnę tylko o dwóch również nowościach, naiwnym „Zakątku rodzinnym“ p. *Milkuszycówny* i kaznodziejskiem „Z dogmatem“ p. *Wołowskiego*; kusi mnie ono więcej w „Emancypantkach“, jako trudniejsze, — a to dzięki wysokiemu artyzmowi utworu. Wam, czytelnikom *Guyau*, nam — z artykułów Potockiego wiadomo, że każda rzecz artystyczna jest rzeczą pożyteczną, z której zapach pożytku wywietrzał: artysta potrafi ten proces przyspieszyć i podać nam rzecz, która już nosem analizować się nie da.

Że żaden prąd społeczny nie spada z nieba, to jest oczywiste, choćbyśmy nawet przypuścili, że zjawiska spirytystyczne są depeszami z Marsa lub Jowisza. I emancypacya kobiet nigdy nie doszłaby do posiadania własnego biura przy *rue Cardinal-Lemoine*, gdyby świeże powietrze produkcyi towarowej nie było nadwerężyło marmurowej tamy rozwoju indywidualnych potrzeb rodziny patryarchalnej. Ale pierwsza sprzedaż zboża, dokonana przez chłopa w miasteczku dla zapłacenia podatku, pierwsza zapłata, przyniesiona przez matkę z rękodzielni do domu, pierwsze staropanieństwo, spowodowane wielożeńskiem starokawalerstwem mężczyzny, nie mającego odwagi założyć rodzinę, — są pierwszemi kroplami wodospadu, w którym wkrótce płyną, jak bety po powodzi, połamane szczątki rodziny patryjarchalnej. Na powszechniejącym rynku wymiennym wyrastają nowe potrzeby, rośnie poczucie niezaspokojenia starych, rozpadają się dawne formy zaspokajania.

W drodze do świtającej ogólnej całości, kapitalizm rozkłada istniejące zjednoczenia na ich atomy i rozpędza ostatnie precz od siebie. Uwydatnia on i potęguje zarodkową sprzeczność dążeń mężczyzny i kobiety, złączonych w rodzinę, — aż uczyni jasnem, że jeśli obojgu ma być zapewniony wszechstronny rozwój ich rozbudzonych sił, to dalsze istnienie rodziny patryarchalnej jest niemożebnością. Przytem odśrodkowe w stosunku do rodziny dążności mężczyzny wzrastają w kierunku zgodnym z jego dawną rolą w rodzinie, — rolą zewnętrzną, — i w rzadkich tylko wypadkach sprowadzają starcie między funkcyją jego, jako członka społeczeństwa, i funkcyją odpowiedzialnego stróża dobrobytu swej żony i dzieci; w życiu codziennem jedynie przyjemności pozadomowe, t. zw. „nieobecność“ mężów, są objawem sprzeczności z ojcostwem patryjarchalnem, — sprzeczności, napozór nieznaczną i której zażegnanie zostaje zaliczone do obowiązków żony. Dlatego nikomu nie przychodzi do głowy, dla uratowania życia rodzinnego, żądać od mężów poświęcenia, narzuconego im przez energiczne żony z komedyi starego *Fredry*. Natomiast sama myśl o zaspokojeniu swych czysto indywidualnych potrzeb duchowych jest zasadniczo sprzeczna z ideałem kobiety streszczonem w zdaniu: *domi mansit, lanam fecit*. Życie matki w rodzinie patryjarchalnej polega na ciągłem, systematycznem zaspokajaniu potrzeb najbliższego otoczenia, a funkcyja taka jest w tej formie rodziny otyle niezbędna, że kobieta nie potrzebuje w odrzuceniu jej dorównać ibsenowskiej Norze, aby mąż i społeczeństwo już jej powiedzieli, tyś winna upadku rodziny. — Rodzina zaś, jakeśmy to nieraz słyszeli, jest podstawą i mikrokosmem społeczeństwa. Chociaż, według katechizmu mieszczańskiego, najdoskonalsza forma życia społecznego ma być zawsze osiągnięta za pomocą „gry indywidualnej interesów“, lub, mówiąc współcześniej, samopomocy, — to jednak mieszczanin czuje instynktownie, że dla utrzymania tego życia niezbędne są popędy altruistyczne, że zaś w całej jego działalności publicznej rozwijanym jest tylko jednostkowy egoim, a konsekwentny altruizm byłby rozkładowym, więc rodzina, jako jedyne laboratoryum, a zarazem jedyne bezpieczne pole zastosowania altruizmu, nabiera w jego oczach siły mistycznego talizmanu, życiowego węzła jego społecznego bytu, uważanego przezeń za jedynie możebny. Wszystko, co sprzyja utrzymaniu rodziny, jest dlań idealnem; niedość i samo pojęcie idealności zlewa się u niego z całością cnót przyjaznych rodzinie. Naodwrót, i w większym jeszcze stopniu: co podkopuje rodzinę, szczególniej ze strony kobiety, jest wrogiem; i każdy występek, szczególniej kobiecy, nosi na sobie piętno kryteryum rodzinnego. Jeśli w poglądach tych o ile są one na ustach wielkiego mieszczaństwa, dość sceptycznego na punkcie idealnosci, leży znaczna doza obłudy, — to drobny mieszczanin krystalizuje w nich najistotniejszą esencyę swego serca.

Jedenastem jego przykazaniem, a przynajmniej komentarzem — klapą bezpieczeństwa

---

szcze żelazne chwytają go za piersi; i pochylił się znowu naprzód i zacisnął usta, kurczowo ściskając młoteczek. Oj głupi, głupi; a młoteczek bełkotał jakoś niewyraźnie, jak gdyby pragnął płaczu łkanie naśladować:

— Tak, tak; panie Miotełko, tak to, tak.

— Ja myślałem, — zawtórował po chwili pan Klemens, — że cię stworzonko to rozrusza, tak wesołe i kochane, — napełni miłością i weselem takiem, co to przed żoną serce odkrywa i robi z małżeństwa jedną duszę.

Spojrzał na pana Antoniego, jak gdyby oczekiwał od niego odpowiedzi; ale pan Miotełko siedział spokojnie, pochylony nad żelastwem swojem, tylko serce skakało mu z bolu i tak tłukło o piersi, jakby rozwalić je chciało. Ono jedno wie, co cierpiał pan jego wtedy, gdy Zośka tuliła się do niego. Tylko gdy ona nie umiała poznać jego bicia, gdy na twarz patrzała, a o niem zapomniała, — wtedy było tak markotno sercu biednemu, tak bardzo markotno; i ta markotność padła pomiędzy nich i rozdzielała ich jeszcze bardziej. — Ona czuła żal coraz większy do niego, a on nie mógł jej przebaczyć, że go tak poznać nie umiała.

Było tak coraz gorzej pomiędzy nimi, z dnia na dzień trudniej im było żyć. Czasem przyszedł wieczór, a żadne nie przemówiło słowa. Aż się to wszystko skończyło przed tygodniem, gdy Zośka opuściła dom jego, i dzieckoośmioletnie, i męża, — bo słońca jej brakło i ciepła.

Pan Klemens wziął czapkę z kanapy, i obracając ją wręku, jakby zakłopotany, patrzał z pod czoła na pochyloną postać pana Miotełki.

Po chwili zaczął zwolna niepewnym głosem:

— Zośka była . . . dziś . . u mnie. .

Młoteczek w dłoni pana Antoniego zatrzymał się od razu, — jak gdyby ręka, która go trzymała, stężała nagle.

Zośka była u niego, — była dzisiaj u niego, — czy może chce — wrócić . . czy może? . .

Cały rój myśli zamajaczył błyskawicą w duszy pana Antoniego.

— Tęskni — mówił tymczasem pan Rejanek dalej, bawiąc się ciągle w pomieszaniu swem czapką, — tęskni . . za dzieckiem okropnie, — powiada, że żyć nie może bez niego. — Miotełko oddaj jej dziecko, — dokończył nagle takim głosem, jak gdyby wykrztuszenie tych kilku wyrazów niewypowiedzianą sprawiało mu trudność.

Cała postać potężna zagadnionego ojca pochyliła się wtył, jak piorunem rażona, — młoteczek z łoskotem wypadł z obezwładnionej ręki.

Więc po to była u niego!

Dziecko ma oddać, — dziecka żądają od niego, ludzie, okrutni ludzie, — wszystko mu wydarli, wzięli mu szczęście, serca połowę skradli, a teraz żądają, aby wyrzekł się dziecka jedynego, aby ojciec wyrzekł się dziecka!

Czuł, że mu w piersi burza straszna się zrywa, trzęsąc całem jego ciałem. — Chciałby krzyczeć: ludzie, okrutni ludzie, rozbójnicy bez duszy, serce mi wyrywacie, puście mnie, puście!

Nie mówił jednak nic.

Pan Rejanek tymczasem kuł żelazo, póki gorące.

Ty nie kochasz tak Stasia jak ona, — ty prędzej się bez niego obędziesz.

Przerwał mu pan Antoni, zrywając się z miejsca, chociaż twarz miał spokojną, tylko bledszą niż zwykle.

— Dziecka nie oddam nigdy, — wymówił krótko i bez namiętności w głosie.

Wielka jednak musiała być siła w tych słowach kilku, bo pan Rejanek umilkł i już nie próbował go ubłagać, zwątpiwszy o swojej sprawie. — Siedział na miejscu swym spokojnie, milcząc i bawiąc się czapką, — tylko od czasu do czasu rzucał z pod czoła spojrzenia na pana Miotełkę, który wolnym, poważnym krokiem przechadzał się po sklepiku, — a na twarzy i w całej jego postaci nie było znaku wzruszenia.

Po chwili podniósł się pan Klemens i przybliżył do pana Antoniego.

— Ha, — to już tutaj nic nie mam do roboty. Ty masz pracę, i mnie pilno do niej, — więc bywaj mi zdrów.

Miotełko uścisnął podaną mu rękę i nie wyrzekł ani słowa na pożegnanie.

— do nakazu: „Kochaj bliźniego, jak siebie“, — jest maksyma: „Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch boży“. Że zaś *Prusa*, twórcę Rzeckiego i autora „Kronik tygodniowych“, nazwę drobnym mieszczaninem, to dla Ciebie nie będzie niespodzianką.

To też trzy sympatyczne typy kobiece jego powieści: pani Latter, Madzia Brzeska i nauczycielka Cecylija, są kobietami, w których życiu środek ciężkości nie leży w potrzebach indywidualnych, które całe są duchowo uzewnętrznione przez nieograniczone promieniowanie swego ciepła na najbliższe otoczenie. Należy podkreślić, że żadna z nich nie jest szczęśliwą; a ich nieszczęście jest szczęściem, zapewnionem Prusowi przez jego poczucie artystyczne. Wszak byłby mdłym i kłamliwym, gdyby oprócz aureoli męczeńskiej zapragnął wynagrodzić swe anioły np. sielanką: ulubiona przezeń forma społeczna jest tak zachwianą, że byłoby utopią powodzenie tych, co ją ratują — i głęboka świadomość tego aż przejęła melancholją krytyka i obserwatora. Rozumie on cały ogrom ofiar, jakie ponieść musi kobieta, chcąc utrzymać w harmonii gwałtownie rozbieżne żywioły współczesnej rodziny — komórki społeczeństwa — i nie popełnia przesady, gdy istotę zdolną do tyle zbawczego poświęcenia podnosi do godności „genijusza uczucia.“ Z takiego podziwu i uwielbienia do zbawczej lecz męczeńskiej potęgi powstała u niego śliczna postać Madzi. Śliczna, bo jej altruizm chwyta za serce każdego, choćby najbardziej był świadom jego związków społecznych; bo drga w niej wielka szczerość autora, który potrafił utrzymać ją w niezmiernie czystym i jednolitym tonie. Do najartystyczniejszych dla mnie należą typy jednolite, z jednej sztuki wycięte, czy to będzie Mazepa *Słowackiego*, czy Małgosia *Goethego*. Madzia zresztą *Prusa* jest w moich oczach jednem z realnych wcieleń „wiecznej kobiecości,“ której Małgosia jest ogólnym symbolem. Powieść nie staje się w danym wypadku tragedyą jedynie dzięki klasztorowi, który jako jedyna dla takich mimoz ucieczka w czasach rozpasania egoizmu, ratuje Madzię wczas od mefistofelicznych szponów, zresztą w osobie Norskiego odpowiednio zmalałych.

Madzia jest pełnym ideałem kobiety, potrzebnej do uratowania rodziny drobnomieszczańskiej od rozkładu. Jeśli pani Latter uchyla się trochę od niego, jako charakter więcej przystosowany do samodzielnej walki, to za to panna Cecylia potęguje samo zaparcie aż do zupełnego zniknięcia z powierzchni życia. Niemniej należy ona do sympatycznych postaci, a z nią ojciec Madzi, Cynadrowski, prof. Dębicki — sami „cisi,“ którzy zresztą nie posiadają ziemi. Rzecz to charakterystyczna, że ta kategorya „cichych,“ o niewielkim zakresie osobistych potrzeb, wrodzonym lub osiągniętym przez przystosowanie, z taką sympatyą jest w różnych szatach malowana przez najwybitniejszych lub tylko najpopularniejszych naszych pisarzy: *Orzeszkową (Nad Niemnem* i inne), *Prusa*, *Sienkiewicza* (za młodu), *Konopnicka*, *Rodziewiczównę*: zjawisko to dowodzi zawsze niestałej równowagi społecznej. Podobnie żyjący wspomnieniami nasz starszy demokratyzm, który niejeden z nas poznał z ust dziadka lub babki, idealizował skromną szlachtę drobną, a piorunował wyłącznie na magnatów. Gdy sobie zdajemy sprawę z rozkładu, pierw nas uderzają czynne wykroczenia, niż napozór bezinteresowne bierne zaniedbanie życia publicznego.

Otóż — uzewnętrznione te postacie wśród swego dobroczynnego promieniowania spotykają się z przeciwdziałaniem typów mniej lub więcej autocentrycznych, niesympatycznych dla *Prusa* i przejmującego się jego nastrojem czytelnika. Prym między kobietami tej kategoryi trzyma panna Howard, a należą do niej: Helena Norska; nauczycielka Joasia; po części druga żona Lattera. Trzy pierwsze przedstawiają trzy różne formy niezadowolenia z rodziny patryjarchalnej i roli kobiety w tej rodzinie. Najpospolitszą jest Joasia, kobieta o zbyt gorącym dla tej rodziny temperamencie; dalej idzie Helena, do której stosują się wiersze *Konopnickiej*:

„Chcę być pierwszą w twym domu królową,
Chcę iść przez życie drogę kwieciem słaną“, —

pragnienia, zgubne dla zachwianej ekonomicznie rodziny, utrzymywanej przez męża; najwyżej z nich stoi najwięcej ośmieszona Howardówna, przeciwniczka przekonaniowa — pozornie przynajmniej. Wszystkie one dążą do swoich celów, nie zwracając żadnej uwagi na kłopoty i cierpienia altruistek, co dodaje do korony męczeńskiej tych ostatnich nowy cierń: obojętność bliźnich — i czyni egoistki tem antypatyczniejszemi.

Antypatyja do typów czynnie autocentrycznych jest, zdaniem mojem, najniezawodniejszą oznaką konserwatyzmu zwolenników jakiejś zagrożonej formy społecznej.*) Pomijam tu bowiem takie typy, jak Femcia, pospolita myśliwa na mężów, nie wyglądająca poza ramy codziennego małżeństwa, lub Ada, stojąca na granicy między dwoma kategoryjami kobiet *Prusa*; trzy pozostałe odczuwają bezpośrednio na sobie braki rozkładającej się rodziny i reagują na nie w ten sposób, że pragną inaczej zaspokoić swe potrzeby. Otóż, według mnie, każdy nowy prąd społeczny od tego się zaczyna, że jednostki, czujące swe potrzeby niezaspokojonemi, przeciwstawiają je mniej wybujałym potrzebom ogółu; tym sposobem autocentryzm jest nieodłącznym towarzyszem, można nawet powiedzieć, czynnikiem postępu.

Czy znaczy to, że *Prusowi*, lub mówmy lepiej wogóle, mieszczaninowi, jako nieprzyjacielowi autocentryzmu, czynię zarzut niepostępowości? Broń mię Boże od takiej niesprawiedliwości. Istnieją jednak dwa rodzaje postępu: jeden, formalny, polegający na ciągłej zmianie form społecznych; drugi, rzeczowy, którym jest nietylko gromadzenie bogactw, rozwój techniki, ale przez anologiję, wogóle stosowanie osiągniętej formy społecznej do osobistych i poszczególnych wypadków. Pierwszy wymaga koniecznie, jako pierwszego stadyjum, negacyi; drugi jest od początku do końca *pozytywnym*, odbywa się cały w granicach danej formy, i rezultaty jego dają się zawsze odrazu ocenić. Mieszszanin, żyjący wśród panującej już mieszczańskiej formy, którą uważa *co do zasady* za najdoskonalszą i ostatnią, uważa naturalnie formalny postęp za bezcelową stratę energii na manowcach, i jedynym w jego oczach postępem jest rzeczowy, któremu autocentryzm nieraz, jak w życiu rodzinnem naprzykład, bruździ.

„Mamy chałupę — powiada on swym domowym językiem — więc warzmy strawę, a nie myślmy o niebieskich migdałach.“

Żyjesz w klasycznym kraju drobnego mieszczaństwa, we Francyi (których obojga — Francyi i mieszczaństwa — *Prus* w zeszłym roku tak energicznie i z takiem powodzeniem bronił od potępienia pani *Zapolskiej* zresztą niemniej energicznego), — więc miałeś sposobność przypatrzyć się objawowi tej sprzeczności między dwoma rodzajami postępu, mianowicie modnej obecnie partyi t. zw. „uczciwych ludzi“ *(des braves gens)*, z jej hasłem: „*pas de politique!*“ i nawoływaniem do pracy w swojem kółku. Nie brak tam i kanonizacyi „cichych“: jednem słowem Brodziński wcielił się w *Coppé'go*.**) *Prus* składa sławnej zasadzie „swego kółka“ jeszcze raz hołd przez usta Dębickiego, który w IV. t. radzi Solskiemu, aby

*) Stosuje się to i do Maxa Nordau, krytyka „egotyzmu“ w literaturze.

**) A propos Coppée'go: jest on bonapartystą z sympatyi. Niedarmo: rozczarowanie mieszczaństwa do polityki zapewniło zwycięztwo polityce Napoleona III i zawsze idzie w parze z marzeniami o „szabli“, — o czem patrz pouczające uwagi w „18 brumaira“ Marxa str. 58—61.

Był na pozór spokojnym, — tylko gdy drzwi się już zamknęły za odchodzącym, stał jeszcze chwilę zwrócony ku nim, a usta poruszały mu się, jakby miał wyrzucić z siebie słowo jakieś, które go gardliło i tamowało mu oddech.

Więc wszystko pragnęliby mu wydrzeć. — Miał kółko swoje rodzinne i szczęście w niem, miał żonę i dziecko; — szczęście uciekło w świat żona opuściła dom męża, bo ciepła i słońca zbrakło jej u niego, i ze sobą wzięła serca jego połowę, która wiecznie będzie przy niej; — jedną ma tylko pociechę, jedną gwiazdę w życiu, a i tej zostawić mu nie chcą. Gdy tę mu wezmą, cóż będzie wtedy dla niego?!

I podniósł zaćmiony wzrok ku niebu, jakgdyby Boga chciał pytać w niebie:

— Cóż dla mnie będzie, cóż dla mnie?

Siadł potem do pracy, ale młoteczek bezczynnie spoczywał w spuszczonej dłoni, — a zamglony wzrok pana Antoniego błądził po ścianach mieszkanka.

Miał uczucie, że duch jakiś wpadł do sklepiku tego i zmienił w jednej chwili wszystko, co się zmienić dało: sufit zepchnął niżej, ściany otynkował ciemniej; a za nim wpadła cała zgraja małych, psotnych chochlików, które wychylając ciekawe główki z każdego kąta, śmiały się i chichotały, wytykając go paluszkami:

— Patrzcie, jaki on stary, hihi, jaki zły, jaki zły.

Wtedy, aby nie słyszeć tłumionego ich chichotu, który mu zmysły tumanił, pochylił się nad żelastwem, leżącem mu na kolanach, i znowu rozlegał się wśród ścian mieszkanka klekot monotonny młoteczka:

— Tak tak, panie Miotełko, tak to, tak.

Gdy pan Antoni zajęty był pracą, rozchyliły się zwolna drzwi, prowadzące do przyległego pokoju i ukazała w nich mała, złota główka ośmioletniego Stasia z ogromnemi, niebieskiemi oczyma.

Rozejrzał się po sklepiku, — a gdy zobaczył, że nikogo obcego niema, przybliżył się do stołu sklepowego, i stanąwszy przy wąskiej jego stronie, oparł się na krawędzi, podpierając bródkę małą zwiniętą w pięść rączką.

Kilka razy odetchnął głośno i zrobił ruch główką, jak gdyby chciał coś powiedzieć, — bał się jednak przeszkadzać ojcu zapewne, bo milczał ciągle.

W końcu zdobył się na odwagę.

— Tatko, — ozwał się, śledząc bystremi oczyma, jakie wrażenie zrobi na ojcu jego przemówienie.

— No, — mruknął pan Antoni, nie podnosząc głowy.

Chwilę namyślał się Stasiu, czy powiedzieć wszystko, wkońcu rzekł:

— Czy Tatko lubi jagody? — lubi Tatko?

I znowu śledził wyraz twarzy ojca, czekając, jaki obrót wezmą jego sprawy.

— Czy miał byś może?

Uważał syn za niepolityczne powiedzieć nagą prawdę, określił ją więc dyplomatycznie:

— Chodzi po domu naszym żydówka, i ma takie śliczne, — takie śliczne czerwone, nie widziałem takich jeszcze.

— To każ jej przynieść kwartę, — odparł pan Miotełko, wydobywając z kieszeni z pod fartucha starą, zużytą portmonetkę; — dał synowi miedziaków kilka.

— Masz, kup.

Stach podziękował ojcu, i podskakując wybiegł z pokoju, a oczy mu jaśniały radośnie.

Po chwili wrócił, niosąc na talerzu jagody:

— Weź sobie na talerzyk, — rozkazał pan Antoni.

— A cukru nie potrzeba, prawda? — Takie śliczne muszą być słodkie.

— Weź, weź sobie i cukru.

Malec stanął znowu przy krawędzi stołu sklepowego, i zajadał jagody. — Podniósł od czasu do czasu oczy na ojca, szczebiocząc raz poraz.

— Jaka szkoda, że mieszkamy w mieście, — na wsi to nie potrzeba kupować jagód, tylko iść do lasu i urwać, — prawda i czereśni także nie.

— Na wsi to ładnie, wszystko się ma.

Ojciec nie zważał na szczebiot syna, tylko pracował ciągle.

— Czemu my nie mieszkamy na wsi?

A kiedy ojciec milczał uparcie, starał się sobie sam wytłómaczyć:

zamiast jałowych marzeń stworzył pozytywny organizm — fabrykę, a przy tej sposobności potrosze bawi się w Spencera, nadając cukrowni ręce, nogi, usta, brzuch, i duszę. Wspominam o tem dlatego, że jest to w całych „Emancypankach" jedyne miejsce prawdziwie — przepraszam — płytkie, a przytem sam pomysł jest znacznie wszechstronniej, zdaje się, zastosowany w dr. *Andrzeja Ure „Philosophie des manufactures"* (tłomaczenie z angielskiego, Paryż 1836), z której obszerne cytaty rozsypane są, jak sobie przypominam, po *„Kapitale"*. — Jak widzimy, idealizacyja dążności mieszczańskich jest niemal — stygmatem atawizmu.

Jeźli prawdą jest, że postęp formalny wymaga w pierwszem swem stadyjum negacyi i autocentryzmu, to nie mniej jest prawdą, że zaraz w drugiem stadyjum nie może się on obejść bez wysokiego altruizmu, że nieraz wymaga wielkich poświęceń i powołuje do życia typy pozytywne i promieniujące. Jednostronnie jednak postępowy konserwatysta mieszczański, który już na pierwsze stadyjum patrzył zezem, drugiego swem polem widzenia wcale nie obejmuje, — co uwalnia go od kłopotu z klasyfikacyją i pozwala mu utożsamić altruizm wogóle z poświęceniem o zabarwieniu rodzinnem. Mówiąc wyraźniej, klasowe stanowisko Prusa objawia się w nieobecności w jego powieści dodatnich przedstawicielek emancypacyi. Czujemy doskonale, jak prawdziwemi są: panna Howard", członek" Kanarkiewiczowa, „członek" Papuzińska i ich całe stowarzyszenie, bośmy wszystkie te panie, a nawet i różne inne ich odmiany, nieraz, choćby na bruku paryzkim, spotykali, i obserwowali ich stronnicze zacietrzewienie, pseudodogmatyczny chłód, drobnostkowe ambicyjki. Ale: albo sprzyjał nam korzystniejszy, niż Prusowi, zbieg okoliczności, albo mieliśmy od niego więcej otwarte oczy: bo znaliśmy — wszak prawda? — kobiety o potrzebach roślejszych, niż kapłaństwo domowego ogniska, a od których wiało jednakże serdeczne przejęcie się ideałami i zdrowie popędów. Gdy bowiew Madzia Prusa, poczuwszy wolę bożą, mówi mężczyźnie:

. . . . Chcę z tobą
podźwignąć ciężar, co się życiem zowie,
być domu twego światłem i ozdobą
i nieść ci pokój, i ciszę, i zdrowie . . .

. . . . Chcę w cichym zakątku
żyć zapomniana, byleś ty był zemną,
chcę nad kołyską naszemu dzieciątku
nucić piosenki w noc ciemną . . . ., —

nasze „emancypantki" przedewszystkiem,
— chcą,
byśmy, lecąc w uścisku wzajemnym,
jako dwa duchy, w dziedzinę wieczności,
rozpromienili na świecie tym ciemnym
gwiaździste szlaki przyszłości. —

Tego jednak pozytywnego stadyum emancypacyi bystry, lecz drobnomieszczański wzrok Prusa dostrzedz nie mógł.

* * *

„Małomieszczanin składa się „z tego i z owego". Spostrzegamy to w jego ekonomicznych interesach, a więc i w jego polityce, religijnych, naukowych i estetycznych poglądach... jest to uosobiona sprzeczność. Jeśli będzie on człowiekiem bogato uposażonym umysłowo, to rychło wyćwiczy się w korzystaniu z własnych sprzeczności i wytwarzać z nich będzie jaskrawe, odurzające, to skandaliczne, to olśniewające paradoksy." Wyrazy te autora „Nędzy filozofii", wraz ze znaną z krytyki ekonomii politycznej dążnością mieszczańskiego umysłu do uosobiania kategoryi zjawisk, mogą być kluczem do klasowo-psychologicznego pojmowania czterech rozdziałów IV t., gdzie Dębicki opowiada Brzeskim różne cudowne rzeczy o eterze. „Ostatni z nieważników", eter odgrywa zaiste dość dziwną rolę w nauce współczesnej: rolę klapy bezpieczeństwa od sprzeczności, raju, w którym błąkają się luźnie już tylko bezcielesne ich dusze, — coś jak sfera samopocy w ekonomii politycznej. Uczniowie Newtona, współcześni encyklopedyści, posiadali podobną do nich skłonność do czynienia bezwzględnych sił z względnych kategoryi zjawisk, a gdy analiza matematyczna, sprowadzając je do ruchu, parła ku syntezie, spędzono wszystko na nieodpowiedzialny eter, czyniąc go zjawiskiem rozmaitych sił. Ztąd ma on być: galaretowatym, ba! nawet kryształowym, a zarazem przenikać najdoskonalej wszystkie ciała: ciągłym i bezgranicznym, a jednocześnie nieustannie ruchomym, i w dodatku posiadać różną gęstość: paradoksy zaiste odurzające. — Geometryczne jednak schematy sił w zupełności wystarczają do zastosowań praktycznych, ztąd postęp ich rozkładu odbywa się stosunkowo powoli; czynnikiem tego postępu formalnego, dyalektycznego, jest analiza matematyczna, od której oczekują rozstrzygnięcia i powyższe sprzeczności eteru. Pojęcie nieskończenie małych zmian, mogących się całkować, jest wogóle potężnym środkiem rozkładowym, uwzględniającym, który materyalizm ekonomiczny zaczyna stosować do nowożytnej socyologii; gdy tymczasem geometrya (w najszerszem znaczeniu tego wyrazu) była dla fizyki narzędziem wewnętrznego postępu, każdej formy, jej szczegółowego rozwoju.

Zaliczenie sprzeczności eteru do sprzeczności mieszczańskich nawet tobie, być może, wyda się zbyt ryzykownem: biorę je na swoją odpowiedzialność. Każda początkująca teoryja ma swe paradoksy; myślę jednak, że życie wśród pewnego ustroju społecznego, który staramy się objaśnić, którego nawet bronimy, wyrabia w samej rzeczy w naszych umysłach pewne nałogi metodyczne, które wnosimy później do innych dziedzin badania. Niemniej są paradoksalne na pierwszy rzut oka, a jednak z łatwością mogą być uzasadnione takie np. twierdzenia, jak: że zjawienia się fugi w muzyce XVI w. jest wpływem początków kapitalizmu i jego walk; lub, że rozwój jednostajnej notacyi i teoryi atomicznej w chemii na gruzach równoznaczników idzie równolegle z rozwojem przemysłu mechanicznego na gruzach różnorodności rzemieślniczej...

Warszawa, lipiec 1894.

K. Radosławski.

Na wsi to nie można mieć sklepu; — tylko w mieście są lampiarze.

Chwilę milczał, zajadając jagody swoje, i dzwoniąc przytem łyżeczką po talerzyku; — potem myśl jego z nowu wróciła do schowanych jagód, i rzekł:

— Te drugie to schować dla mamy, kiedy wróci, prawda?

Tylko jak długo nie przyjdzie, to się popsują, będzie szkoda.

Młoteczek w ręku pana Antoniego, począł gorączkowo klekotać, jak gdyby chciał zagłuszyć jakiś głos, budzący się w piersi pana.

Gdy Stasiu znów nie otrzymał odpowiedzi, pytał dalej:

— A dokąd mama poszła, że tak długo nie wraca? — Dokąd? — Poszła od ciebie, dziecko biedne; a kiedy wróci? — Nigdy, bo gdzie słońca niema, tam nic go nie zapali, nigdy nie zapali.

Pan Antoni czuł jakąś miękkość na sercu, więc pochylił się, jakby ją chciał stłumić, bo mu przykrem było to uczucie żalu, i rozrzewnienia.

— Czy Tatce mówiła, kiedy wróci? bo mi już tęskno czekać za nią, myślę, że codzień przyjdzie, a kiedy się kładę na wieczór, nigdy jej jeszcze niema.

Panu Miotełce ściskał żal piersi, i gorycz uczuł w gardle. *(Dokończenie nastąpi.)*

Jarogniew.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z WYSTAWY.

VI.

Zdawałoby się, że w najbliższym związku ze zjazdem literako-dziennikarskim musi powstawać odpowiedni dział na wystawie. Wziąwszy do ręki katalog główny spotykamy istotnie w sekcyi XXIII tyle imion znanych w literaturze, że w mniemaniu tem utwierdzamy się jeszcze bardziej. Tem większe za to spotka nas rozczarowanie, kiedy wejdziemy do pawilonu literackiego — przepraszam zresztą: na pawilonie tym wisiał przez pewien czas napis „fotograficzny" — nie rozumiem jednak co w takim razie robią w nim Wydawnictwa akademii lub Towarzystwa Mickiewiczowskiego?

Nazywano również przybytek literacki — pawilonem sztuk reprodukcyjnych. Ale cóż ma wspólnego z reprodukcyami dajmy na to wystawa pism polskich?

Ostatecznie powiedzmy wprost, że żadna nazwa nie odpowie przybytkowi dziwnego nabożeństwa, w którym główne miejsce zajmują fotografie, drugie wyroby introligatorskie, trzecie księgarskie wystawy, czwarte próbki druku i litografii — no i wreszcie parę okazów literackich t. j. zbiory kilku wydawnictw, komplety pism peryodycznych i t. d.

Wystawa lwowska zdaniem znawców uderza przedewszystkiem mnogością znakomitych tablic graficznych, map i t. p. przyrządów poglądowych. Gdzież są takie mapy w pawilonie literackim? Gdzie zestawienie swojskiej i tłumaczonej literatury, gdzie wykazy terytoryalne i chronologiczne rozwoju prasy polskiej, gdzie jakościowa (według działów) statystyka produkcyi naszej wydawniczej — bodaj z ostatniego lat dziesiątka? Długo bym tak wyliczał, bo właśnie literatura, której przecie niemożna in toto wystawić za gablotami — nadaje się do graficznych i rozumowanych uzmysłowień. Mniejsza o to, kto był winien przy urządzaniu pawilonu — faktem jest jednak, że pawilon ten z literaturą ma bardzo mało związku i wstyd przynosi tym, na których w pierwszej linii ciężył chlubny obowiązek przedstawienia najchlubniejszego z dorobków narodowych. A sądzę, że był to obowiązek nie księgarzy, ani introligatorów, lecz lwowskich sfer literackich i dziennikarskich. Szanowny czytelnik przypomina sobie, żeśmy w przedostatnim numerze „Przeglądu" różnili się nieco z p. Bartoszewiczem w poglądach na zjazd. Pomimo jednak powyższych uwag o pawilonie literackim nie zmieniam swego stanowiska wobec zjazdu. Owszem twierdzę raz jeszcze, że jakkolwiek nie był takim, na jaki nas stać, to jednak zaznaczył się kilku głębokiemi myślami, skupił sporo młodych sił i bodaj samą nieobecnością żywiołów wstecznictwa — stwierdził, że nie one dziś są w spójni duchowej ze społeczeństwem.

Natomiast z rozmysłu usunąłem ujemne strony ruchu literackiego na wystawie ze sprawozdania o zjeździe. Zadanie zjazdu jest zapłodnić, rozgrzać — nic więcej; — wykonanie ciąży na ogóle literatów. Tytułem też ostrzeżenia zamieściłem parę uwag powyższych o pawilonie. Jeżeli bowiem wykonanie uchwał zjazdu będzie takiem, jak wykonanie tego ostatniego — to prawdziwie żal tej szczerości i zapału, jaki ujawnił zjazd w chwilach ważniejszych — jak przemówienia Szczepanowskiego, Chmielowskiego, uczty na cześć Jeża i t. d.

Dużo się cieszono z powodu pewnej jednomyślności z jaką prasa polska oceniała dotąd wystawę. Cieszymy się i my, o ile rzecz dotyczy zasadniczej strony wystawy i o ile płynie z jednakiego u wszystkich poczucia obywatelskiego. O ile „jednomyślność" rozciąga się aż do zamykania oczu na rażące błędy, a źródło ma w knowaniach kliki — o tyle stanowczo

uważamy ją za szkodliwą. I wielką zasługę przypisujemy p. Janowi Kasprowiczowi, który pierwszy zwrócił uwagę na błędy pawilonu „literackiego.“ Z uwag jego i z późniejszych zabiegów kółka życzliwych korzystać nie chciano. — Niech przynajmniej teraz w obec uchwał zjazdu pamięta kto powinien, żeby nie pokpić sprawy na sposób pawilonowy...

* * *

Jest zresztą pewien kąt w Pawilonie literackim, który nie powiem okupuje, ale każe zapomnieć o nędzy całego budynku: Są to wydawnictwa i prace Akademii zajmujące skromny ostatni pokoik.

Oddzielna broszura pióra pana Stanisława Smolki informuje o dziejach (1873—1883) instytucyi i o wystawionych przez nią okazach. Pominąwszy różnorodne mapy i tablice oraz trzystakilkadziesiąt tomów wydawnictw Akademii przejdźmy do statystycznej tablicy ruchu wydawniczego polskiego w ostatn'm stuleciu. Patrząc na te kolumny cyfr i barwnych kwadracików uczymy się pojmować, jaki ścisły związek zachodzi między politycznym bytem a duchową działalnością narodu.

W ostatnim roku samodzielnego bytu Polski — w r. 1794 — ilość wydawnictw dochodzi 497; zaraz po rozbiorze w r. 95 spada do 209; w roku zaś 1802 wynosi tylko 193. Z nastaniem Księstwa Warszawskiego znów się produkcya wzmaga: w r. 1809 jest już 402 wydawnictwa.

Widzimy dalej jak produkcya ta wzmaga się w latach poprzedzających wielkie wypadki historyczne — tak np. w roku 1829 dochodzi liczby 721 druków: jak dalej upada nisko w latach klęski narodowej — w roku 1831 mamy tylko 329 druków! Szczególniejsze ożywienie wykazuje 1848 rok — wzrosła liczba wydawnictw aż do 1409. Po chwilowem obniżeniu się produkcyi umysłowej w roku 1863 (953) przekraczamy znowu tysiączkę, w r. 1868 i odtąd niżej tysiaca druków rocznie nie produkujemy. Najobfitsze są lata 1882—1886, kiedy liczba wydawnictw dochodzi 2217 druków (rok 1884). Udział miast polskich w ruchu całego stulecia przedstawia się jak następuje:

Warszawa	25,517
Kraków	15,912
Lwów	10,524
Poznań	4,712
Wilno	4,669.

Nie mniej wymownym jest udział poszczególnych zaborów w różnych czasach. Jak należało spodziewać się, Królestwo zajmuje pierwsze miejsce w ciągu całego nieomal stulecia. W roku kongresu wiedeńskiego wydaje ono 133 druki.

Po wahaniach w okresach powstańczych dosięga cyfry pół tysiąca, aż w roku 1883 i 4 wydaje 922 i 918 książek. Tu naraz produkcya upada

1885 — 800
1886 — 809
1887 — aż na 397!

W ostatnim wreszcie siedmioleciu cyfra wydawnictw rocznych wynosi przeciętnie około 462! Jest to mniej niż przed rokiem 70ym czyli, że prawa cenzury oraz wprowadzenie rosyjskiego języka do instytucyi polskich cofają nas pod tym względem o lat 20 z górą.....

W tym samym czasie odmienne warunki polityczne Galicyę popychają naprzód. Przedewszystkiem szukają w niej wypowiedzenia się ci, którym usta zamknięto w Królestwie, dalej zaś sama swoboda i krzewienie tej oświaty budzi ruch umysłowy. W roku kongresu wiedeńskiego Galicya miała zaledwie 15 wydawnictw; w latach zaś 1885, 1886 prześciga już Królestwo (985 i 1005) odtąd — w ciągu dziesięciolecia ostatniego suma rocznych wydawnictw Galicyi wynosi stale około 1000 druków!

Najmniej gwałtownych zmian przedstawia statystyka zaboru pruskiego. W roku kongresu wiedeńskiego ma ono tylko o 3 druki więcej od Galicyi. Do roku 1844 idzie ciągle w górę aż do setki. Od r. 1840 do 1893 wydaje przeciętnie 120 druków rocznie. Podobno wspanialej przedstawiałaby się produkcya wydawnicza Poznańskiego, gdyby tablica uwzględniła i ilość nakładu. Jest jeszcze jedna wiązanka cyfr smutne światło rzucająca na położenie nasze w zaborze rosyjskim. Mówię o ruchu wydawniczym na Litwie i Rusi. Ogółem od 1815 do 1893 wydano tu 4260 druków. W r. 1888 w ruchu wydawniczym uczestniczy 11 miast takich jak Białystok, Grodno, Kamieniec, Kijów, Brześć, Połock i t. d. — razem w ciągu tego roku wydają 106 druków. Gubernie zabrane — nie mówiąc już o świetnym okresie uniwersytetu wileńskiego — lepiej stoją niż Galicya. Aż oto przychodzą czasy Murawjewa i liczba wydawnictw odrazu spadła ze 156 na 21, 6, 5 i 4.

W latach 1881 i 1882, kiedy pęt nieco zwolniono, znowu skaczą cyfry roczne do 42 i 33! W ostatniem zaś dziesięcioleciu spadają do zera prawie — bo do 3, 2 i 1 rocznie. Tak z dwudziestu kilku miast przyjmujących niegdyś udział w ruchu wydawniczym polskim — pozostają w r. 1887 n. p. 2 miasta Kijów i Wilno, które wydają razem 3 książki!

* * *

Tę lekcyę historyi i polityki na tle statystyki literackiej — lekcyę, którą nawiasem mówiąc radzimy Młodoczechom nauczyć się na pamięć — zawdzięczamy pracy całego życia bibliografa Karola Estrejchera. On to zebrał w pomnikowe dzieło owe 81,410 druków stanowiące nasz stuletni dorobek wydawniczy.

W układaniu zaś tablic, objaśnień, oraz w dopełnieniach bibliograficznych udział brali p. p. Wisłocki, Smolka i Józef Rutkowski.

Antoni Potocki.

NA WYŁOMIE.

(Zawieszenie broni — przygotowania wojenne — Agonia polityki „ugodowej“.)

Saison morte! gnuśność rozleniwiałej pod żarem słonecznym natury i sprawom ludzkim powoli się udziela. Dzielnica nasza w sennem pogrążona milczeniu — ucho natężone nie słyszy haseł bojowych, zgrzyt stali o stal nie przerywa ciszy. Podwoje świątyni Janusa zawarły się z trzaskiem, dotąd nikt nie miał odwagi zbudzić ze snu dwugłowego boga. Ktokolwiek przerzuca dzienniki nasze czy to z nałogu, czy z obowiązku — rozczarowany odkłada je na bok — o naszych sprawach najżywotniejszych znajdzie niewiele. Ale jak dzieciom chciwie zasłuchanym dziadek-weteran dziwy opowiada o dawno minionych bojach — tak łamy dzienników naszych do snu nas kołyszą drobiazgowym opisem wojny azyatyckiej, czyniąc zadość nieuleczalnej potrzebie emocyi. Czyżby naprawdę przywięzywano tak wielkie znaczenie do wojny rozgrywającej się pomiędzy egzotycznemi ludami? Czyżby naprawdę sprawy nasze były zupełnie zawieszone?

Badającemu uważnie puls pozornie w letargu pogrążonego społeczeństwa naszego — inne nasuwają się myśli. To nie spokój śmierci przywykłą do walki orężnej spowił dzielnicę. O zakopaniu „siekiery wojennej“ nikomu się nie marzy. Nastało tylko chwilowe zawieszenie broni, bez wspólnego porozumienia się wprawdzie nieprzyjaznych obozów — ale prawem konieczności narzucające się wyczerpanym długotrwałą walką wojownikom. Wedle prawideł, stosowanej i do walk politycznych, strategii, obozy nieprzyjacielskie po za okopami, niezwykle rozwijają czynność i energię. Z akcyi tej nic jednak nie przesiąka na zewnątrz. Podstępnie odwraca się uwagę od gorączkowego pospiechu, z jakim się reorganizuje nadwątlone pułki — i z naiwną hipokryzyą zabawia umysły, żądne wrażeń i wzruszeń, potęgowaniem do bajecznych rozmiarów wypadków polityki zewnętrznej, w rzeczywistości platoniczny tylko mogącej budzić interes.

W tajemniczej ciszy zdradzieckie dokonują się podkopy i zakładają miny. Zadumani przywódzcy głęboko rozmyślają, jaką bronią najpewniej ugodzić w ciało przeciwnika; obliczają skrupulatnie siły swoje i nieprzyjacielskie — całość jest wielką akcyą przygotowawczą, a z rozmysłem unika się starć przedwczesnych. Raz po raz tylko żołnierz mniej karny lub oczekiwaniem zniecierpliwiony szarpnie za cyngiel — ze strony przeciwnej odezwie się leniwie strzał z karabinu małego kalibru, oznajmiaający, że i tam czuwają.

Ale gdy nadejdzie chwila stosowna, na pierwszy odgłos pobudki z wściekłą zaciętością runą na siebie wrogie kohorty. Zwycięstwo zapewnione tym, co lepiej i wytrwalej umieli przysposobić swoje zastępy do przyszłej wojny.

To też *Sulla*, pragnący wypocząć po trudach ostatniej kampanii nie pozostawił *wyłomu* bez straży. Zastępca jego wytężonym wzrokiem śledzi nieprzyjacielskie obroty — a gdy równina pusta, czujnie spogląda, rychło li na horyzoncie zjawią się tumany kurzu, kryjące w swoim łonie zbliżające się do ataku szyki nieprzyjacielskie. Nocą nasłuchuje uważnie raz po raz odzywających się haseł, dopełzających po rosie z nieprzyjaznego obozu. Niestrudzony dogląda wszystkiego, gromadzi materyały wybuchowe, niweczy miny podkopujących się pod wyłom wrogów, nie pozwoli się zaskoczyć niespodziance!

* * *

Przyglądając się z blizka okopom, na których powiewa pawilon „ugodowy,“ spostrzegamy ze zdumieniem, że imponująca zdala swą feodalnością budowa grozi upadkiem, skutkiem usuwania się gruntu. Któż z nas nie pamięta owej epoki, w której „dyplomaci ugodowi,“ z błogim zachwytem „zwierzali“ się zaufanym z nowej zdobyczy, nowego za ich usługi „*ustępstwa.*“ Skoro wieść się rozniosła, prasa niemiecka jednogłośnie uderzyła na alarm. O cóż bowiem chodziło? O pozostawienie rekruta polskiego w prowincyach, z których pochodził, zamiast dotychczasowego translokowania go do prowincyi zachodnich, gdzieby się naocznie przekonał o „wyższości kultury niemieckiej.“ Ta wrzawa, te rozpaczliwe napomnienia, aby rząd pruski lekkomyślnie nie narażał swego istnienia przez wzmocnienie wrogiego żywiołu polskiego dobrze uzbrojonym żołnierzem polskim — na kresach wielkiej ojczyzny niemieckiej, to tylko potęgowało tryumf naszych lojalistów! Jakież ogromne w pocie czół swych dyplomatycznych zdobyli „ustępstwo,“ skoro cała prasa niemiecka solidarnie rządowi pruskiemu robi zarzut zdrady stanu! Ogół społeczeństwa naszego, niejednokrotnie zawiedziony ostatniemi czasy, zachowywał się dość sceptycznie w obec tego ogromnego ustępstwa, okupionego naturalnie również ogromnemi ofiarami.

Odbyły się bankiety w Wiedniu i we Lwowie. Władza wojskowa w obec tej zakorzenionej polskiej żyłki do festynów i kadzenia sobie wzajemnie, uznać trzeba, zachowała się bardzo taktownie. Nie zakłóciła bowiem podniosłego nastroju bankietujących dyplomatów naszych — strumieniem zimnej wody — w postaci ogłoszenia istotnego rozporządzenia. Dziś zanotować nam trzeba nagi fakt nie wiem już ilekrotnej porażki partyi dworskiej.

Pozostawia władza wojskowa tylko 5 (*pięć*) procent rekrutów polskich w obrębie Vgo korpusu armii w pułkach załogujących w dzielnicach polskich — reszta rekrutów i nadal umieszczoną będzie w pułkach czysto niemieckich. Rozporządzenie to podyktowały władzy wojskowej nie względy na wiernych tronowi i pruskiej ojczyźnie „dworskich dyplomatów“ — ale niestety, jedynie *względy czysto wojskowe!* Zależy władzy wojskowej na tem, aby *w razie mobilizacyi* mogła dostateczną rozporządzać liczbą podoficerów mówiących po polsku.

W obec tak dotkliwych ciosów skutecznie wymierzonych w politykę ugodową, nawet „Dziennik Poznański“ okazuje dziwne lekceważenie dyplomatom, skoro im się niepowodzić zaczyna; zachwiał się i umywa ręce od przedsiębiorstwa dworskiego. Nie oglądając się już na łaski spływające na nas od tronu, seryo zaczyna się zastanawiać nad — założeniem polskiej fabryki papieru.

Tristan.

NOTATKI LITERACKIE.

Cezary Jellenta. W przesileniu, wykrawki z życia. Kraków Gebethner i Spółka 1894 str. 281.

Pomiędzy pięciu „wykrawkami“ znajduje się jedna nosząca tytuł: „Zepsuty klawisz.“ Bohater jej, Smerecki, pisarz „zdolny i ognisty“ miał powodzenie jako krytyk, ale pragnął zdobyć się na „coś własnego.“ Próbom jego jednak czegoś brakowało, był w nich jeden *klawisz zepsuty.* Smerecki był po prostu przegryziony chorobą wieku, ale nie posiadł jej w zupełności, ztąd jego bohaterowie dużo rozprawiali, a mało cierpieli, obiecywali dramat, a nie dotrzymywali słowa. Niespokojny duch Smereckiego zmusił go do opuszczenia kraju i porzucenia kochającej go Janiny. Smierć jej rzuciła go na łoże, żył w rozpaczy, w czarnej melancholji, wreszcie „nie dał się harpiom“ i... zaczął tworzyć rzeczy znacznej wartości. Zepsuty klawisz został naprawiony. Zdaje się, iż autor „wykrawków“ ma także..... klawisz zepsuty. Z utworów jego wieje pessymizm i niewiara w ludzi, zanim miał czas ich poznać. Choroba to nienaturalna, lecz stuczna, ztąd bohaterowie jego są jacyś dziwni, niedokończeni, nie wiedzący czego chcą, do czego dążą. Wacław np. człowiek ogromnych zdolności i inteligencyi, ubogi a więc zarabiający sobie lekcyjami na kawałek chleba, przypadkowo zawiązuje stosunek z Maryją, młodą i bogatą wdową. Nic im nie stoi na przeszkodzie do pobrania się, a jednak Wacław woli zaspokajać żądze, wyczerpywać całą namiętność i uciekać od Maryi, aby znów za nią gonić, znowu oddawać się zmysłowej miłości i znowu uciekać. Tęskni za nią, ale nie pragnie jej posiąść na zawsze. Dla czego nie była panną, gdy ją posiadł? — Oto co go rozdrażnia, irytuje. Marya go kocha, pisze do niego długie listy — on jej odpowiada, że chce żyć tylko dla wspomnień. Stwarza sobie jakąś wygodną filozofiję używania dla reminiscencyi. Filozofuje i żyje bez celu, istny narwany samiec, niezdolny do żadnej produkcyi ani reprodukcyi. W drugim „wykrawku“ namiętność przelewa się brzegami. Panna Aniela i szwagier jej Jerzy pałają ku sobie całą potęgą zmysłów; miłości tam nie ma; tylko w najwstrętniejszej formie żądza wzajemnego posiadania. Ale panna Aniela ma rozum i zna granice, których przekroczenie jest niedozwolone dla panny „szanującej się“ i pragnącej wyjść za mąż. I w tem leży cała obrzydliwość tego stosunku. O Jerzym łagodny sędzia powiedzieć może, że „zapomniał się,“ ale nie powie tego o Anieli, która z gorących objąć narzeczonego, rzuca się za minutę w objęcia szwagra. Wreszcie wychodzi za mąż, a Jerzy w dzień ślubu przechadza się pod jej oknami i mdleje w chwili, kiedy sądzi, że małżeństwo jest już nietylko *ratum* ale i *consumatum.*

Jast jeszcze w tych „wykrawkach“ i pan Walery, który spędza cały czas na wieczorze u siostry, drażniąc się zmysłowo, flirtując i „pączki“ i „kwiaty“, wreszcie wściekając się, że nie ma powodzenia wobec rywalów młodych i zapewne przystojniejszych. Zły, zmęczony, ucieka z wieczoru, filozofuje i przychodzi do przekonania, że jest — małpą. W ostatnim „wykrawku“, noszącym tytuł: „W Przesileniu“ zepsuty klawisz Jellenty zaczyna się naprawiać. Jest w nim wprawdzie ksiądz dowcipkujący przy pożarze wioski, jest i pan Jan materyalista, bez żadnych sentymentów, obchodzący się z narzeczoną jak z pokojówką, ale jest i panna Barbara, owa narzeczona, która odczuwa obowiązki jednostki dla społeczeństwa, staje w obronie godności kobiety i dobrze zrozumianego idealizmu i zrywa z narzeczonym, od którego ją dzieli całe morze zapatrywań. Ta postać Basi dowodzi, że autor jest... w przesileniu. Jeżeli minie ono szczęśliwie, to może wyleczy się z przenoszenia na papier typów wyłącznie niezdrowych moralnie i obrazków dyszących tym rodzajem namiętności, który mężczyzn prowadzi do szpitala, a kobiety wyprowadza z domów uczciwych. Talent pisarski p. Jellenty pochwał nie potrzebuje. Jestto podobnie jak Smerecki pisarz „zdolny i ognisty“; jak w Smereckim widać dużo w nim inteligencyi i że się lubi „rzucać na wszystko“, „gdzie można piorunować“. Trochę spokoju, mniej „abstrakcyi i formuł“, a gdy przyjdzie niedaleki już zapewne czas umiarkowania, to wyjdą na wierzch „zachowane w głębi ducha zapasy własnej, osobistej treści.“

K. Bart.

KRONIKA LITERACKA.

— **„Wisła“**, kwartalnik geograficzno-etnograficzny. 1894 (kwiecień, maj, czerwiec). Warszawa. Najnowszy zeszyt „Wisły“ zapełniony został przeważnie surowymi materyałami etnograficznymi. Pochodzą one głównie z Galicyi i z Królestwa kongresowego. Rozpoczyna zeszyt dr. Wł. Matlakowski zbiorem piosnek, śpiewanych „Przy międleniu lnu na Podhalu“. Nawiasem zanotuję, że opis pięknego dnia jesiennego, na wstępie umieszczony, należy do najpiękniejszych, jakie spotykałem w prozie opisowej. Dalej następują: „Opowiadania ludowe ze „Starego Sącza“, zebrane przez S. Udzielę; „Z za krakowskich rogatek“, opowiadania przez K. Matyasa; „Pieśni ludu szląskiego z okolic Cieszyna“. przez S. Ciechanowskiego; „Obrzędy weselne w Szołajdach w pow. kutnowskim“, przez L. Lissowskiego: „Szopka radomska“, przez S. Jastrzębowskiego i in. Prócz powyższych zbiorków zeszyt ten mieści jeszcze w dziale artykułów bardzo ciekawą rozprawę „O chasydach i chasydyzmie“, napisaną przez B. W. Segla, oraz naukową, obszerną „Kronikę geograficzną za r. 1893“ Wacława Nałkowskiego.

„Wisła“ obrała doskonały sposób kompletowania materyałów etnograficznych za pomocą specyalnych „Poszukiwań“. Stałych poszukiwań odbywa się teraz 20. Wiele odpowiedzi napływa na poruszone tu kwestye i one zapełniają dział drugi zeszytu. Dział trzeci również bardzo bogaty, poświęcony jest krytyce i bibliografii.

Gdy się czyta „Wisłę“, przykre sprawia wrażenie ta okoliczność, że inteligencya z ks. Poznańskiego nie przyjmuje udziału w pracach etnograficznych, wymagających zbiorowej pomocy tych wszystkich, co z ludem się stykają. Współpracownictwo takie jest łatwe i owocne. Lud wiejski i małomiejski w Poznańskiem nie jest jeszcze dostatecznie zbadany na co zwrócono uwagę na tegorocznym zjeździe literatów we Lwowie. (Referat dra Jana Karłowicza „Narodowy folklor polski“.) Inteligencyę w Ks. Poznańskiem podwójnie gorąco do tego współpracownictwa w etnografii zachęcać należy, na tem bowiem polu niejeden zbieracz może nabrać zamiłowania nietylko do folkloru, lecz i do zawodu pisarskiego wogóle, a ten zawód niestety, podupada w Poznańskiem dla braku pracowników.

Z. Was.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Kupcy z Wielkopolski urządzają wspólną wycieczkę do Lwowa dnia 18 Sierpnia. — W niedzielę rano spłonęła do szczętu wrzesińska cukrownia. W ubiegłym roku cukrownia ta zapłaciła 43 procent dywidendy. — W paryskim procesie anarchistów większą część oskarżonych uwolniono w braku dowodów. Skazano tylko trzech na kilkanaście lat galer. — Caserio, morderca prezydenta Carnota, został stracony w Lugdunie we Czwartek rano o godzinie 5tej. — Japończycy odnieśli znowu znaczne zwycięstwo na morzu.

Teatr i muzyka. „Serafino d'Albania“, oto tytuł najnowszej opery Piotra Mascagni'ego, do której młody kompozytor miał się zabrać, odkładając na dalszy plan pozaczynane dotąd dzieła. Libretto ma być wykrojono z romansu Nicola Micasa p. t. „Kapłan szlachcic“. — Pp. Żelazowscy podpisać mieli kontrakt z dyrekcyą teatru krakowskiego i przenoszą się ze Lwowa na scenę krakowską. Donosi o tem warszawskie „Słowo“. — Jan Strauss, bawiący na wakacyach w Ischlu, ukończył już zupełnie najnowszą swoją operetkę „Jabłka“ (Święto jabłkowe — Das Apfelfest). Jak wiadomo, operetka osnuta jest na motywach słowiańskich, choć nie braknie w niej walców. — Nowe oratoryum skomponował muzyk chorwacki, Jan Zając, znany ze swych operetek, jak: „Załoga okrętowa“, „Porwanie Sabinek“. „Figle Chochlika“, które były pierwocinami jego talentu. Tekst do oratoryum napisał młody poeta Sylwiusz Kranczewicz p. t. „Pierwszy grzech“ w trzech częściach, osnuty na podaniu biblijnem o grzechu Adama i Ewy.

Zyskownem zajęciem jest rzemiosło literackie w krajach anglosaksońskich, a dowodem tego naprzykład pani Humphry Ward, autorka popularnych powieści, która w samej Anglii i Ameryce otrzymała 16,000 fstr., za swój romans p. t. „Dawid Grieve“; suma zaś, jaka jej przypadła w udziale za sprzedaż tejże książki w koloniach brytańskich, Indjach, Australii, nie jest dokładnie wiadoma. Inna powieść p. Ward, „Marcela,“ — przyniosła autorce również: 16,000 fstr., a Robert Elsmere“ 8,000 fstr. W przeciągu zatem sześciu lat, bo w takim okresie czasu pani Ward puściła w świat wspomniane romanse, — praca literacka przyniosła jej 40,000 fst., czyli około 800,000 marek. Niezły zarobek.

Galerya drezdeńska nabyła słynne dzieło Murilla „Śmierć św. Klary“, znajdujące się dotychczas w posiadaniu hr. Dudley'a w Londynie. Obraz ten został wymalowany przez Murilla w r. 1646 w Sewilli, mieście rodzinnem mistrza, gdzie zdobił ściany krużganku klasztoru O. O. Franciszkanów. Galerya drezdeńska zapłaciła za arcydzieło Murilla 200,000 marek.

Julian Klaczko ogłasza w najnowszym numerze paryskiej „Revue des deux Mondes“ studyum estetyczno-historyczne p. t. „Rome et la renaissance. Dans la camera della segnatura“. Jest to dalsze ogniwo w szeregu podobnych słynnych studyów z epoki odrodzenia włoskiego, ogłaszanych w temże piśmie peryodycznem w roku zeszłym. W tym samym zeszycie „Revue“ spotykamy pierwszy ustęp pracy historycznej p. Alberta Vandal o wyprawie rosyjskiej Napoleona pt.: „Le passage du Niemen“. Rzecz dotyka z wielu punktów stosunków polskich.

P. Cecylia Walewska, współpracowniczka pisma naszego. skazana na przesiedlenie wyjechała do guberni kurskiej.

Zmarli:

August Nicolas Cain, znakomity rzeźbiarz francuzki — w Paryżu.

Włodzimierz Wysocki, jeden z ostatnich epigonów polsko-ukraińskiej szkoły literackiej, autor poematów „Laszka“, „Las“, „Nowe Dziady“, — w Kijowie.

Dr. Maillot w Paryżu. R. 1864 zajął wysokie stanowisko prezesa des Conseils de santé des armées. Pierwszy wprowadził do praktyki chininę w znacznych ilościach. Zmarł w 91 roku życia.

Ludwik hr. Wodzicki, dyrektor Laenderbanku, umarł w drodze do Ostendy, w Douay.

BIBLIOGRAFJA.

Józef Wierzbicki. Konstytucya Ateńska Arystotelesa. Kraków 1894. Cena 1,80 mr.

Cybulski. Próba badań nad żywieniem się. Lwów 1894. Cena 1,50 mr.

Dr. Gołba. Pienie Ezechiasza. Kraków 1894. Cena 0,60 mr.

St. Koźmian. Rzecz o roku 1863. Tom I. część pierwsza. Kraków 1894. Cena 5 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

Ewan. Wiersza nadesłanego nie umieścimy: myśli niejasne, forma słaba.

H. F. w Berlinie. Nie mogliśmy zamieścić prędzej; liczymy na dalsze współpracownictwo.

W. Ci... t. w Berlinie. Przy sposobności zamieścimy.

A. N. w Sz. Godzimy się na wywodu Sz. Pana, kwestyi jednak nie poruszamy, aż „będą pewne dane“.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu.